

Jerzy Pleśniarowicz

## Ballada o ulanach

Przez polany, pola, głów łąny.  
Ranek żrebak jak radość rzał.  
Na polanie obłoki lanie,  
pył bulane rzenie ślal.

Ołowiani malowani ulani,  
zanurzone znużenie w San.  
Słońca kamień, pamięć, a na nim  
górką, górką promienie lanc.

Cisza studnia cembrowana chłodem,  
opłotkami zamknięty sad.  
Jarzębiny urodę w wodę,  
płatki woni dokoła chat.

Jeden — oczy czy zerwać blawatki,  
a furkotem proporce chmur.  
Drugi — żal nam pożegnalna matki  
i armaty ech przepaścią z gór.

We krwi słońce plawiło się w Sanie.  
Wieść śmierć jak ulani przez wieś.  
Malowani, konie wrone, ulani.  
Gdzieś się tliła nieskończona pieśń. —

1937.



## I WYDARTO GO Z ZIEMI POPIOŁEM

Zbliżający się Kongres Kultury Polskiej jest okazją do przeprowadzenia rozrachunku pomiędzy tradycją a współczesnością, przewartosciową wiele spośród dawnych dzieł i ich twórców na nowo „odczytywanych”. Jednym z takich pisarzy jest Cyprian Kamil Norwid, którego twórczość niezrozumiana i niedoceniona przez jemu współczesnych, obecnie nabiera nowych wartości — filozoficznych i narodowych, pasując do na jednego z czołowych poetów polskiego romantyzmu.

Całe życie i twórczość Norwida, to jedna czarna nić, przewijająca się od mazowieckiej kolebki poety do paryskiego przytułku, który stał się ostatnią przystanią jego burzliwego żywota. Urodzony we wsi Laszkowo-Głuchy w okolicach Radzyna, syn zrujnowanego szlachcica, który swe nie spalone długi odświadczył w warszawskim więzieniu, młody Norwid porzuca szkołę, aby poświęcić się malarstwu, do którego miał pociąg nie mniejszy niż do pióra. Pozwoliło mu to zarabiać na chleb pędzlem i dżumą podczas długoletniej tułaczki na obczyźnie.

Warszawa i Mazowsze to dwa motywy, które będą stale powracać w twórczości poetyckiej Norwida: „O ty, młodości mej stolicco! Z bruku twego rad bym mieć kamień, na którym krew i łza nie świecą!” — będzie pisał w Paryżu, na wiadomość o czarnych miesiącach, jakie nastąpiły w Warszawie po upadku powstania styczniowego. Kiedy indziej będzie wspominał „bruki głuche i szare i Zygmunty w chmurze miecz” zawiły nad Starym Miastem, które było za młodych lat jego rodzinnym domem.

Niejednokrotnie wspomni też mazowiecki pejzaż — chaty kryte słomianą strzechą i drzewa z bocianimi gniazdami, ziemię, którą zwałował pieszo w towarzystwie Oskara Kolberga poszukującego dawnych pieśni i obyczajów ludu. Norwid, zagnany aż za ocean, do obcej i nieprzytulnej Ameryki, będzie tam pisał: „Do kraju tego, gdzie winą jest duża poposać gniazdo na gruszy bocianie — tęskno mi Panie!”

Warszawę opuścił Norwid w dwudziestym pierwszym roku swego życia jako znany już czytelnikom i krytyce literackiej autor „Pigmaliiona” i wierszy drukowanych na łamach pism stołecznych. Ukończyw-

szy w Warszawie szkołę malarską Minasowicza, udał się na dalsze studia artystyczne do Niemiec i do Włoch, gdzie miało go spotkać niebezpieczne fatum jego całego życia — Biała Dama, synna wówczas w całej Europie piękność, Maria Kaleris, muza najwybitniejszych pisarzy, muzyków i artystów owej epoki.

Zaczyna się prządź tragiczna czarna nić, o której — jak gdyby w przeczuciu — pisał opuszczając Warszawę: „Złe, złe zawsze i wszędzie ta nić czarna się przedzie: ona za mną, przede mną i przy mnie...” Zarabia rzeźbiąc kościelne nagrobki rytując i rysując, równocześnie kocha się beznadziejnie w Białej Damie i tworzy. Przyjaźni się z Zygmuntem Krasińskim i innymi romantykami, spiera się z Mickiewiczem.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Jan Grygiel

## NA SZLAKACH WRZEŚNIA

(NOTATKI Z PAMIĘCI)

W nocy z dnia 31 sierpnia na 1 września 1939 r. spałem na sianie w stodole. Byłem wtedy uczniem III klasy gimnazjum w Gorlicach. Mimo odroczenia początku nauki ze względu na wiszącą nad krajem groźbę wojny wierzyłem, że wszystko się uspokoi. Za parę dni spotkałem się z kolegami i profesorami, którzy ostatecznie rozproszą wszystkie moje obawy i wątpliwości. Zbudził mnie o świcie ciężki, jednostajny grzmot samolotów i dalekie łomoty wybuchów. Lęk i nie-dobre przeczucie starałem się uspokoić zapewnieniem samego siebie, że to tylko ćwiczenia, że nic się nie stało, że przecież się nie odważą... Usiłowałem znów zasnąć. Ale ciężkie dudnienie nie zamierało, słychać je było coraz donośniej — samoloty widać szły całymi falami. Za chwilę przybiegła rozdygotana matka. „Coś się dzieje niedobrego! Wstań! Lecą nisko samoloty z jakimś krzyżami na skrzydłach i gdzieś bombardują. Posłuchaj, co mówi radio”. Dopadłem do słuchawek detektorowego odbiornika — trzęsącymi się rękami szukałem igły na kryształku fali radiowej — jest! Oredzie prezydenta Mościckiego do narodu. Nieco drżącym głosem świadczył się przed Bogiem i Historią, iż naród polski padł ofiarą napaści bez wypowiedzenia wojny. Apelował do ofiarności i patriotyzmu... Niezwykły patos oredzia i głęboko w słowach Mościckiego ukryty lęk i rozterka wywarły na mnie wielkie wrażenie. — „Jest wojna mamo! Niemcy na nas napadli, ale im pokażemy!”. Matka rozplakała się tylko na tę przechwałkę. Później mówił do radio-słuchaczy Kornel Makuszyński — że nie oddamy ani guzika, że kogo Bóg chce skarać — to mu najpierw rozum odbiera i Hitler o tym się przekona. Wierzyłem w to, ale niepokój nie opuszczał mnie ani na chwilę. Bałem się gazów bojowych, bombardowań, pożarów miast i wsi, wypełniony teoretyczną wiedzą o grozie nowoczesnej wojny.

Trudno zabrać się było w tym dniu do pracy. Wszystko leciało nam z rąk, kręciliśmy się bez sensu w kółko — sąsiedzi wkrótce zaczęli przynosić wieści tak nieprawdopodobne, iż nie potrafiłem w nie uwierzyć. Jak pogodzić się z tym, że dworzec kolejowy w Tarnowie wyleciał w powietrze, iż Niemcy zbombardowali Kraków, Dębicę, Jasło i Krosno, że ich wojska posuwają się w głąb kraju itd. Wychowany w szkole, w

idei mocarstwowej Polski, uzbrojony w legendę o potęgę naszej armii, zapatrzony w marszałka Rydza Smigłego jako godnego następcę „Dziadka”, z oburzeniem przyjmowałem tego rodzaju wiadomości...

Szerzą się wieści coraz bardziej niepokojące; komunikaty radiowe mówią o zwycięstwach, ale te zwycięstwa odnosimy coraz dalej w głąb od naszych granic. Swobodne rajdy niemieckich myśliwców i bombowców nad naszymi głowami trwają. Mówi się o naddragowaniu wojsk niemieckich ze Słowacji — mają już zagrażać Nowemu Targowi i Nowe-

mu Sączowi. Protestuję przeciw tym „plotkom”, ale mój autorytet „studenta” niewiele się przydaje. W którymś dniu rada rodzinna uchwalałabym pojechać do ojca (pracował jako urzędnik gminny w Gliniku Mariampolskim) i dowiedzieć się co naprawdę słychać i co dalej mamy czynić. Wziąłem nowy, niedawna na raty kupiony rower, lecz w polowie drogi do Gorlic zabrał mi go granatowy policjant śpiesznie uciekający na wschód na starym gracie. Zostawił mi świstek, iż rower został zarekwirowany na cele wojen-

(Ciąg dalszy na str. 2)



**KONGRES  
KULTURY  
POLSKIEJ**  
  
**Pisarze z bliską**  
  
**ZDZISŁAW KOZIOL**

**N**ASZA wiedza o środowiskach twórczych jest, ogólnie mówiąc, nader skąpa; stąd często nawet jednostkowe przykłady bywają uogólniane, co prowadzi do powstania błędnych nieraz opinii, nie sprzyja poznaniu spraw nurtujących te środowiska, w tym także problemów, które par excellence wpływają na efekty działalności twórczej. Mgłą mitów otoczony jest także zawód pisarza, a mgły tej nie są w stanie rozproszyć informacje uzyskane np. podczas spotkań autorskich, chociaż niewątpliwie pobudzają zainteresowanie tym środowiskiem.

Zainteresowanie literaturą, a także literatami jako grupą zawodową wzrasta wraz z poszerzeniem się kręgów odbiorców ich twórczości. Estetyczną i poznawczą funkcją literatury oraz rolę i pozycją społeczną pisarza zajmują się różne dyscypliny nauk, w tym również socjologia, ale jej dorobek w tym zakresie, jest raczej skąpy, a przynajmniej niewspółmierny do wagi problemu. „Przedmiotem rozważań socjologa — pisze prof. Jan Szczepański — może być albo warsztat pisarstwa literata oraz proces twórczości; albo literat jako zawód i jego miejsce w społeczeństwie, jego stosunek do władzy i jego rola w pro-

cesach życia i rozwoju społecznego; albo dzieło literata żyjącego własnym życiem przez wieki czy tylko dziesięciolecia”.

Z wielu względów, chociażby z przytoczonego na wstępie, interesująca jest, że się tak wyrażą anatomici środowiska literackiego, a więc kim są nasi literaci, jakie posiadają wykształcenie, jaki jest ich dorobek twórczy, jakie osiągają dochody z twórczości czy wręcz, jak wygląda „geografia” tego środowiska. Słowem — literaci jako grupa zawodowa.

Badania, które w 1964 roku przeprowadził Zarząd Główny Związku Literatów Polskich dostarczają odpowiedzi na te i wiele innych pytań, a co również istotne — pozwalają skonfrontować pozycję pisarza w dwóch dwudziestoleciami: obecnym i międzywojennym. Badania te są bowiem odpowiednikiem ankiety rozpisanej przed 35 laty przez ówczesny Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich wśród swoich członków, a także członków PEN' Clubu, Związku Artystów Dramatycznych oraz Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy. Ankieta zawierała wówczas pytania dotyczące głównie warunków materialnych oraz warunków pracy, w jakich tworzą pisarze. Sporo uwagi poświęcono wzajemnym stosunkom

między pisarzami a wydawcami. Ankieta z 1964 roku zawierała mniej pytań z uwagi na zdezaktualizowanie się wielu spraw, przynajmniej w ujęciu sprzed 35 laty. Zupełnie odmiennie kształtują się chociażby stosunki między wydawcami a literatami.

Warto tu przytoczyć wypowiedź L. Krzywickiego z 1932 roku: „Niewątpliwie wśród wydawców przeważa obecnie, może w mierze większej niż dawniej, spekulanci, którzy umie się posługiwać jedynie ofiarowaniem niskiego wynagrodzenia i niedotrzymaniem umowy. Poświęci zawsze utwór artystyczny nawet wielkiej wartości na rzecz marnoty sensacyjnej, ale obiecującej duży dochód bez potrzeby wyteżenia starań w kierunku pociągnięcia licznych rzesz do kupna książki”. O wyzysku ze strony wydawców mówią także liczne pamiętniki i wspomnienia wielu pisarzy okresu dwudziestolecia międzywojennego. Współcześni literaci mają też sporo uwag pod adresem wydawnictw, wyrazili je w ankiecie z 1964 r., ale sytuacja dawna i obecna jest absolutnie nieporównywalna.

Każda z ankiet dostarcza wielu ciekawych informacji, a porównanie ich wyników — jak już wspomniałem — przynosi dodatkowy, cen-

(Dokończenie na str. 2—3)

# NA SZLAKACH WRZEŚNIA I WYDARTO GO Z ZIEMI POPIOŁEM

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ne i swój stary wehikuł. Z bezsilnej wściekłości omal nie zaplałem.

Na szosie sporo samochodów, furmanek i pieszych z tobołkami. Wędrują gdzieś ze Śląska i Podhala. Pojawiają się również oddziały wojska. Są to żołnierze Obrony Narodowej umundurowani w latane i spłowiałe drelichy i uzbrojeni w stare austriackie karabiny. Maszerują na zachód i to mnie pokrzepia. W Glińniku dowiaduję się, że ojciec dostał polecenie zapakowania ksiąg i dokumentów gminnych i wysłania na wschód. O rozpoczęciu roku szkolnego nie ma w ogóle mowy. Ojciec postanawia zaczekać na bieg wypadków, tym bardziej iż dowiadujemy się o wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Anglię i Francję. Wierzymy, że teraz wszystkie lęki są bezpodstawne.

Fale pieszych, furmanek i samochodów gestnieją na drogach. Pojawia się także coraz więcej wojska, ale maszerującego już na wschód. Ludzie porzucają domy, gospodarstwa i uciekają przed frontem na oślep przed siebie. Są pewni, że powstanie gdzieś linia obrony i pochód Niemców zostanie powstrzymany. Moja mama także została ogarnięta paniką — wie, że ojciec musi wyjechać z dokumentami gminy, przyjeżdża więc z moim rodzeństwem i sąsiadami na furmance. Ładujemy księgi na furmankę i ruszamy na „uciekinię”, jak to wszyscy nazywają. Pierwszy nocleg w Bieczu w kancelarii zarządu gminnego. Spimy na krzesłach, podłódze i dużych stołach. Spoglądam na wyblakły plakat zdobiący ścianę — Rydz Śmigły na tle samolotów spogląda dumnie i dziarsko. Nie mogę w to wszystko jeszcze uwierzyć co się dzieje — wydaje się, że to mi się tak nieprzyjemnie śni. Ale równocześnie czuję wzbierającą gorączkę i poczucie krzywdy.

Ruszamy dalej drogą zatłoczoną do ostatka tłumem uciekinierów. Słoneczna pogoda wrześnieńna trwa w dalszym ciągu — niebo błękitne, bez jednego obłoku. Nad głowami znowu od rana samoloty niemieckie. Lecą wysoko, więc na razie nie budzą paniki. Naliczyłem 30 maszyn w jednej wielkiej grupie. W Jasie robimy krótki postój dla nakarmienia koni. Nasz woźnica idzie z wiadrem po wodę, a przynosi w nim wódkę. Okazało się, że z gorzelnii na przedmieściu wypuszczono ze zbiorników spirytus, by nie wpadł w ręce Niemców. Wiele ludzi z kubkami, dzbankami i butelkami usiłowało zaczerpnąć dla siebie z rynsztoka trochę wódki. Woźnica opowiada, iż niektórzy pili dołmi lub ustami ze strumienia spirytusu, a później odurzeni jego oparami odwracali się i zasypiali.

Za Jasłem na lotnisku w Modęrowce oglądamy zbombardowane polskie samoloty. Są to nowe bombowce „Losele”, które niestety nie wzbłyły się w powietrze. Widok ten robi tragiczne wrażenie. Wędrówka jest coraz trudniejsza. Coraz więcej myśliwców niemieckich przelatuje nisko nad szosą ślepiąc po tłumie uchodźców ogniem z karabinów maszynowych. Uciekamy wtedy w pole, wciskamy twarze w kartofle, lub pola buraków, wlazimy pod mostki. Czują każdy centymetr skóry na plecach i poję się ze

strachu, gdy nad głową z rykiem przelatują samoloty plując ogniem. Po nalocie zostają trupy koni, ranni i zabici — reszta tłumu ściga za powrotem z pół na szosy i rusza dalej. Staramy się szukać bocznych, mniej zatłoczonych dróg, by nie jechać razem z oddziałami wojska, ale okazuje się, że wojsko czyni tak również i rezultat jest ten sam. Przejeżdżamy przez Fryszak i późnym wieczorem docieramy do Krosna. Na horyzoncie widać rude łuny i słychać pomruk armat. Front idzie za nami i jest coraz bliżej. Nieludsko zmęczone grupy żołnierzy z Obrony Narodowej pytają nas czy nie wiemy, gdzie są już Niemcy. My pytamy ich o to samo. Mówi się o walkach pod Jasłem. Żołnierze śpią w marszu lub szukają miejsca na furmankach, by choć chwilę odpocząć. Wszystko rozsypuje się we mnie, gdy to widzę. Wszystkie pewniki o naszej sile, potęgę, o opatrności wódzch, w które uzbrojono nas w szkole. Wciąż mam jed-

udać nam się uciec od frontu. Moja Matka ma już dość tej tułaczki. Proponuje, by się gdzieś zatrzymać, poczekać na przesunięcie się frontu i wracać. Ale na razie trudno nam się na to zdecydować. Docieramy do Chyrowa i jedziemy w kierunku Dobromila. Samoloty bezustannie nekają naszą wielką gromadę. Widzieliśmy, ukryci w krzakach, jak myśliwiec niemiecki tak długo krążył wokół kopy siana, aż zastrzelił starego Żyda, który się za nią chronił.

Podjęliśmy decyzję. Zatrzymujemy się w Dobromilu i czekamy na przejście Niemców. Wyprzedzamy konie na łączce za miastem i obserwujemy ruch na szosie. Gdzieś po godzinie rzędzie tłum cywilów, natomiast pojawiają się oddziały wojskowe coraz szybciej uchodzące na wschód. Słychać już dość bliskie salwy z karabinów maszynowych i z działek. Wreszcie galopem przejeżdża ostatnia furmanka wojskowa — na tylnym siedzeniu przerażony

nych żołnierzy polskich. Jedziemy w kierunku Przemysła i ogarnia nas wielkie zdumienie, gdy przed Niżankowicami zatrzymuje nas na drodze patrol polski. Mówimy żołnierzom, że za nami są już Niemcy — błędna. Okazuje się, że Przemysł i okolica są jeszcze w ręku naszych wojsk. Więc jeszcze raz musimy przeczekać przesunięcie się frontu. Zatrzymujemy się we wsi Stanisławczyk nad Wiarem i stąd obserwujemy bitwę o Przemysł. Walki trwają przez 3 dni. Co jakiś czas samoloty niemieckie dokonują nad miastem lotów zwiadowczych i za chwilę wybucha z okolicznych wzgórz gwałtowny ogień artyleryjski. Zbombardowany i ostrzelany artylerią Przemysł płonie. Widać także jak od ognia polskich dział wał się drzewa na wzgórzach i wybuchają w powietrze fontanny ziemi.

W trzecim dniu zdobywam się na odwagę i ruszam do Przemysła w poszukiwaniu żywności, gdy cichnie nieco ogień armatni. Miasto robi ponure wrażenie. Wypalone ruiny domów, kikuty drzew, okna bez szyb, trupy koni na ulicach i ciężki odór zgłiszcz i rozkładającej się w upale padliny. Otwarto dla ludności żywnościowe magazyny wojskowe. Tłum ludzi depece po cukrze, papierosach, sucharach, tłoczy się w drzwiach, usiłując zdobyć jak najwięcej i jak najlepszej żywności. Udaje mi się zdobyć trochę sucharów i już zamierzam ruszyć z powrotem do rodziny, gdy nagle słychać gwałtowny bliski ogień karabinów maszynowych. Kryję się w bramie i czekam na dalszy bieg wydarzeń. Po paru minutach zalega przerażliwa, głucha cisza. Wreszcie przez opustoszałe ulice z rykiem, na pełnym gazie wpada patrol motocyklistów z bronią wymierzoną przed siebie. Widać, iż są pełni lęku i napięcia. Za chwilę z taką samą szybkością wracają. Dopiero za jakieś pół godziny wracają w ulice długa kolumna wojska. Nie wygląda jednak tak świeżo i butnie jak tamta w Dobromilu. Jest sporo rannych, żołnierze są zmęczeni, mundury zniszczone... Widać zdobycie Przemysła wiele ich kosztowało.

Wracamy już ostatecznie do domu. Jakas to smutna wędrówka. Pełno przy drogach mogli żołnierskich — polskie hełmy na białych brzozywnych krzyżach. Sterczą koni w spalonych wsi, wataś się bezpańskie bydło. Trzeba ciągle omijać głębokie leje. Mijamy spaloną Birczę, wokół której, jak widać, woczyły się ciężkie wałki. Leżą porozrojane działa, trupy koni, ludzie lamentują na progach spalonych domów. Wszędzie dalej, to samo. Trudno uwierzyć, że to ten sam krajobraz, który oglądaliśmy tak niedawno.

Wracamy przyzwoici i zrozpaczeni spotykając ciągle dumnych żołnierzy niemieckich, którzy często nas legitymują, a nawet rewidują furmankę. Nie wiemy, czy nasz dom ocalał; nie wiemy jak teraz będzie wyglądać nasze życie. Wyobraźnia jest bezradna. Na szczęście nie wiemy jeszcze, że czeka nas 5 lat straszliwej wojny i 5 lat okupacyjnego koszmaru. Jak tu zbudować z tych zgłiszcz wiarę we własny naród... Na gimnazjalistę z trzaskiem zawaliło się pogodne, wrześnieńne niebo.

JAN GRYGIEL



nak złudzenie, że to wszystko wokół jest nierealne i nierzeczywiste. Zapach potu końskiego, mającego wokół furmanek sylwetki żołnierzy, szmery przyciszonych rozmów, to jakiś obraz ze snu.

Nocujemy w zabudowaniach klasztornych w Starej Wsi, koło Brzozowa.

W Brzozowie oglądamy taką scenę. Setki młodych ludzi, w tym dużo gimnazjalistów i harcerzy, otacza budynek PKU domagając się wcielenia do armii, broni i mundurów. Jakiś sierżant bezradnie tłumaczy, że władze wojskowe już wyjechały, że nie ma w magazynach nic. W drodze coraz trudniej o żywność — trzeba biegać w okolicznych wioskach o chleb. Jedziemy coraz częściej głodni. Nic dziwnego, przy tej oibrzymiej pielgrzymce ludzkiej... Z trudem przejeżdżamy przez Sanok płonący po bombardowaniu. Pali się fabryka gumy „Wudeta”. Ciężki, czarny i smrodliwy dym spowija całe miasto. Za nami znów słychać przytłumiony, lecz gwałtowny ogień artyleryjski — w dalszym ciągu nie

żołnierz trzyma kurczowo pistolet wymierzony przed siebie. Szosa pustoszeje, a gwałtownie nalała się ogień broni maszynowej. Kryjemy się za snopami słomy w pobliskim obejściu, gdyż kule zaczynają wiśtać nad głowami. Po pół godzinie wszystko milknie — na szosie pojawiają się motocykliści w niebieskich mundurach.

Poczucie klęski staje się nieodwracalne. Strach i nienawiść na widok obcych żołnierzy, aż dusi mnie w gardle. A więc już się stało — coś się ostatecznie zawałło. Chodzę jak ogłuszony, nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić. Szukam pomocy u ojca, ale i on chociaż przeżywa już drugą wojnę reaguje podobnie. Nad wszystkimi uczuciami jednak dominuje lek — jak będziemy teraz żyć.

Wracamy. Obok nas przesuwa się obojętnie i spoglądają pogardliwie oddziały niemieckie. Nowe mundury, samochody, motocykle, mnóstwo rowerów — jak mało przypominają obdartych i zabiedzo-

ny materiał, ważny zarówno dla historii kultury jak i socjologia. Problemy te zawarte są w obszernej pracy Andrzeja Sicińskiego — „Pisarz polski w dwóch dwudziestolecach”, przygotowanej dla Zarządu Głównego ZLP. Jej fragment opublikowany został na łamach ostatniego numeru „Kultury i Społeczeństwa”.

Zanim o wynikach ankiety, kilka uwag dotyczących sytuacji społecznej i kulturalnej obu dwudziestolec. Problem ten wymaga oczywiście gruntownego, analitycznego potraktowania, w przeciwnym razie grozi wulgaryzacja i uproszczenie. Z wielu jednak względów trzeba ograniczyć się do niektórych tylko spraw rzutuujących na pozycję literatów oraz upowszechnienie ich twórczości. Sytuację sprzed 35 lat syntetycznie ujął L. Krzywicki w przedmowie do opracowania wyników ówczesnej ankiety. Napisał o mianowicie: „Kłęką naszą jest szczypliwy rynek wydawniczy”.

Jakie zaszły zmiany, zważywszy znane skargi pisarzy i czytelników na nieduże nakłady, brak wznowień i w ogóle tzw. trudności papierowe czy poligraficzne. Otóż zmiany są zasadnicze. Aczkolwiek przedwojenna Polska liczyła globalnie więcej mieszkańców, to jednak ludność polska przekracza dziś o przeszło

1/3 stan z 1931 r.; jesteśmy w zasadzie państwem jednonarodowym (mniejszości narodowe stanowią niewielki odsetek ludności), co przynosi także konsekwencje w dziedzinie kultury. Widoczne są również skutki urbanizacji kraju; jeśli w 1931 r. w miastach żyło zaledwie 27,4 proc. ogółu ludności, to obecnie już prawie połowa, a kulturę miejską cechują bliższe kontakty z twórczością literacką.

Sprawą chyba najważniejszą, wielokrotnie zresztą podnoszoną jest wzrost wykształcenia. Wspomnę tylko, że w 1931 r. analfabeci stanowili 14,5 proc. dorosłych mieszkańców miast oraz 33,1 proc. mieszkańców wsi, a w 1963 r. odsetek analfabetów wynosił odpowiednio: 1,9 proc. oraz 5,2 proc.

Innym następstwem przeobrażeń społeczno-kulturalnych jest zwielokrotniony krąg odbiorców literatury. Wprawdzie liczba pozycji z dziedziny literatury pięknej opublikowanych w języku polskim jest tylko nieco większa, ale nakłady wzrosły blisko 7-krotnie. Jeśli w 1935 r. w 436 samorządowych bibliotekach publicznych był 1 mln książek, to w 1963 r. blisko 7 800 bibliotek publicznych posiadało 37,6 mln tomów. Rozwój zaś środków masowej informacji, głównie telewizji, przyniósł możliwości szerokiego upowszech-

niania twórczości literackiej, zbliżył pisarza do odbiorcy. Dzieła literackie prezentuje także film.

Przejdźmy do niektórych danych statystycznych. W 1964 r. ZLP skupiał 950 członków, a w 1930 r. organizacje grupujące literatów liczyły łącznie około 700 osób. Więcej jest więc obecnie ludzi zawodowo uprawiających tę twórczość, lecz proporcjonalnie do ludności narodowości polskiej nastąpił spadek: na 1 pisarza przypadało 31 400 mieszkańców, a w 1964 r. — 32 600 mieszkańców.

Zdecydowana większość członków ZLP to mężczyźni, których jest 70,4 proc. Najmniejszy odsetek kobiet jest wśród poetów, natomiast przeważają one wśród twórców dla dzieci i młodzieży (69,4 proc.) oraz tłumaczy (65,5 proc.). Wiek mężczyźni jest przeciętnie niższy niż kobiet; 1/4 mężczyzn nie przekroczyła 40 roku życia, a jedynie 7 proc. — ponad 70 lat. Najwięcej literatów jest w grupie 51—60 lat. Najmłodszą grupę stanowią poeci, najstarszą zaś — autorzy piszący dla dzieci i młodzieży. Warto tu dodać, że proces starzenia w większym stopniu objął środowiska literackie niż ogół ludności kraju, a współcześnie pisarze są przeciętnie nieco starsi od przedwojennych.

Wydać mi się, że cechy demogra-

ficzne środowiska literackiego wywierają pewien, może nawet znaczny wpływ na twórczość. Wyraźnie dostrzegam go, np. w utworach dla dzieci i młodzieży. A. Siciński stwierdza lakonicznie, że minimalny odsetek osób młodszych wśród autorów literatury dziecięcej i młodzieżowej oraz tłumaczy jest powodem do niepokojów.

Natomiast jeśli chodzi o poezję, sądzę, że właśnie przewaga młodych wpływa na poziom współczesnej twórczości poetyckiej, wobec której wielu zgłasza sporo zastrzeżeń. Ten rodzaj literacki wymaga bowiem szczególnej dojrzałości wewnętrznej...

Skoro już mówimy o poetach, to dodać jeszcze trzeba, że posiadają oni najniższe wśród literatów wykształcenie, najwyższe natomiast — krytycy i eseści oraz prozaicy. Zdaniem Sicińskiego, niezbyt wysoki jest poziom wykształcenia tłumaczy, gdyż 56,7 proc. spośród nich nie posiada magisterium. Wśród literatów przeważają jednak ludzie z wyższym wykształceniem: 31,2 proc. uzyskało tytuł magistra, 8,8 proc. — doktora, a 1,6 proc. habilitowało się. Najwięcej pisarzy ukończyło studia filologiczne, głównie polonistykę, następnie — filozoficzne, socjologiczne, inne dyscypliny humanistyczne oraz prawo. Zachodzi przy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Osiada nad Sekwaną, ale ból nieodwzajemnionej miłości pcha go na dalszą tułaczkę. Zamyśla o ucieczce do Chin. Po 62 dniach burzliwej podróży na żaglowcu przybija do brzegów Ameryki, gdzie przychodzi mu zaznać nieraz głodu i chłodu oraz innych utrapień. Pracuje jako górnik, nabawia się choroby żrącej utratą ręki. Nadwreżęza wzrok, pracując nad ilustracjami i miedziorytami dla pism amerykańskich. Po półtorarocznym pobycie postanawia wrócić do Europy i osiada w Paryżu na 28 ostatnich lat swego życia.

W tym okresie — od 1855 r. — powstają najdojrzalsze i najlepsze dzieła Norwida. Amerykański epizod kwituje wierszem. „Do obywatela Johna Browna”, obrońcy praw Murzynów, straconego w Charlestonie:

Przez oceanu ruchome płaszczyzny,  
Pieśń ci, jak mewę, posyłam,

o Janie.  
Ta lecieć długo będzie do ojczyzny  
Wołnych, bo wątpi już, czy ją  
zastanie...

Więc, nim Kościuszki cieni

i Waszyngtona

Zadrży — początek pieśni przyjm,

o Janie!

By Ameryka, odpoznawszy syna,

Nie zakrzyknęła na gwiazd swych

dwanastcie:

„Korony mojej sztuczne ognie

zgaśnie,

Noc idzie, czarna noc z twarzą

Murzyńca!”

W tym czasie pisze Norwid wiersz „Do Emira Abdel-Kadera w Damaszk”, muzułmanina, który stanął w obronie ludności chrześcijańskiej, zagrożonej rzezią przez fanatycznych Arabów, manifestując tym swoje humanistyczne uczucia. Pisze najwyższej miary arcydzieło poetyckiego kunsztu, utwór, „Bema pamięci żałobny rapsod” składając hold bohaterowi Polski i Wiosny Ludu. Czyny poetycki obrachunek ze współczesnością, zaczynający się od słów „Klaskaniem mając obrzęki prawice”. Powstają wiersze patriotyczne, związane z powstaniem styczniowym: „Improwizacja”, „Zydlowie polscy” i najwspanialszy „Fortepian Chopina”; a obok tego poezje i poematy oraz utwory dramatyczne, pełne głębi filozoficznej i zadumy nad światem i człowiekiem. Dzieła, które spotkały się z niezrozumieniem, a twórcą ich z obcością otoczenia. Nieliczne swe przyjaźnie i kontakty — między innymi z Chopinem i Słowackim — zamyka Norwid w przepięknym cyklu „Czarne i białe kwiaty”.

Zgorzkniał, zniechęcony do ludzi i do świata, bez środków do życia, chory trafia do przytułku dla starców, z którego w maju 1883 r. roku trumnie ze zwłokami poety wyprawdają na cmentarz Ivry pod Paryżem. Po upływie pięciu lat, kiedy nie miał kto dalej opłacać miejsca wiecznego spoczynku, otworzono grób, a prochy Norwida złożono do mogiły polskich emigrantów na cmentarzu Montmorency. Dziś, w pół wieku, głęboka, humanistyczna jego twórczość odnosi zwycięstwo za grobem długo niedocenianego i niezrozumianego poety.

ADRIAN CZERMIŃSKI

tym współzależność między kierunkiem obydanych studiów, a rodzajem uprawianej twórczości. I tak np. prozaicy najczęściej ukończyli prawo i ekonomię, poeci i autorzy dla dzieci i młodzieży — polonistykę, dramaturdzy — filozofię i prawa krytycy zaś filozofię, a tłumacze — filologię obcą. Poziom wykształcenia współczesnych pisarzy jest wyższy niż przed 35 laty, gdy np. 5,5 proc. ankietowanych wykazywało wykształcenie „domowe”. Wielu literatów, poza twórczością, wykonuje jeszcze inną pracę, co wiąże się często z ich sytuacją materialną. Godne podkreślenia jest zjawisko, na które zwrócił uwagę prof. J. Szczepański: „O ile wiek XIX i początek XX był świadkiem procesu odchodzenia artystów od społeczeństwa i zamykania się we własnych wtajemniczonych grupach, w których ustalono kryteria ocen, o tyle druga połowa wieku XX widzi znów rozkład tych grup i wchodzenie intelektualistów do instytucji, do urzędów, grup i organizacji zawodowych, do pracy w szkołach itp. w poszukiwaniu zarobku i pozycji ekonomicznej”.

Spśród polskich literatów najwięcej pracuje w szkolnictwie, instytutach naukowych i dziennikarstwie. W następnej kolejności idzie praca redakcyjna w wydaw-

Cecylia Błońska

# ZA RZEKĘ W KRAINĘ STAREJ BAŚNI

...„O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny i pada miarowy, jednak, niezmienny”... Jak ocalić resztę uciekającego lata, jak o wczesnym zmierzchu, gdy za oknami szaleje wrześnie ulewa, przywołać obraz minionych wakacji, czarownych wędrówek „plenerowych” wrażeń?

A więc porządkuje się notatki czynione na gorąco, ogląda zdjęcia, raz jeszcze uważnie czyta przewodniki, foldery. Jakoś nie śpieszno je wsunąć do starej koperty, dla porządku wypisując na nich 1 a t o 1966.

Pewnego upalnego dnia podążyliśmy w Sanoku wiszącą kładką, potem polną drogą za San, do Etnograficznego Parku. Nie najlepsza to droga, lecz słoneczny dzień kompensował jej brak wspaniałym krajobrazem, gęsto utkanym campingowymi namiotami; nadrzeczną ciszę jaz po raz mąciły skoczne taktki big-beatu. Radio powtarzało jakąś podwieczorkową imprezę i w wakacyjne przedpołudnie Rolska odpowiadała przy tablicy.

Na polance pod lasem, pełnej jeszcze rozmaitych materiałów budowlanych, desek, obszernej gabloty w przejrzysty sposób wprowadza zwiedzającego w cele Muzeum Budownictwa Ludowego, atrakcyjnie zapowiada całość jego ekspozycji. Masywna, drewniana brama wiodzie w głąb falistego parku, na który przeniesiono część obiektów z terenów podległych sanockiemu Muzeum Budownictwa Ludowego. Obejmuje ono 10 południowych powiatów, poczynając od części pow. Nowy Sącz, poprzez Gorlice, Jasło, Strzyżów, Krosno, Brzozów, Sanok, Lesko, Ustrzyki po południową część powiatu przemyskiego.

Nie ma chyba potrzeby szerzej rozwodzić się nad tym, jak to wszędzie — nie tylko w tej części Rzeszowszczyzny — stare formy budownictwa ustępują pod naporem nowych, które niesie ze sobą ogólny postęp, nowe warunki społeczne, ekonomiczne i kulturowe, jakie stały się udziałem naszej wsi w ostatnim 20-leciu.

Tam, oczywiście, gdzie to jest możliwe do zrealizowania, służba konserwatorska, zainteresowane wydziały rad narodowych, miejscowi miłośnicy dokładają starań, by zabytki wiejskiej architektury — szcze gólnie reprezentacyjne dla dawnego budownictwa danego regionu — pozostać mogły in situ, stanowiąc pożądaną atrakcję krajobrazu, zwiastującą przy rozwoju turystyki itp. Muzeum sanockie posiada takie tereny oddziały: w powiecie Sanok jest to dzwonnica dawnej cerkiewki o walorach obronnych w Dobrej Szlachce, na terenie powiatu Brzozów XV-wieczny kościół w Haczowie oraz, pochodząca z XVI wieku, cerkiewka w Ulczu.

Obiekty, jakie już przeniesiono i udostępniono zwiedzającym w par-

ku etnograficznym w Sanoku są charakterystyczne dla starej architektury wiejskiej terenów bojkowszczyzny, dla budownictwa Pogórzian, Lemków oraz Dolinian.

Oglądanie tu trzy zabytkowe chałupy ze wsi Skorodne (pow. Ustrzyki), przeniesione z terenów bojkowszczyzny. Kurna chałupa uboższego wyrobnika dworskiego z Niebocka, zbudowana została w r. 1900. Ongiś posiadała tylko jedną izbę i sień, później dopiero dla inwentarza żywego dobudowano małą stajenkę. Ten domek reprezentuje budownictwo Pogórzian. Chata Dolinian z Dąbrówki Ruskiej posiada charakterystyczne wnękowe podcienie.

Muzeum tego rodzaju wymaga rozmaitych skomplikowanych umiejętności. Szczególnie pole do popisu mają tutaj pracownicy konserwatorskie, aczkolwiek przybysz nie zawsze będzie z tego zdawał sprawę, ile zabiegów wymaga walka z erozją czasu. Lalk na pewno byłby zdziwiony dowiedziawszy się, że drewniana studnia na wodę — jeden z eksponatów tego muzeum pod gołym niebem — została pracownie zakonserwowana, a jej „ubytki” uzupełnione zgodnie ze wskazaniami nowoczesnych metod konserwacji. Nad problemami inwentaryzacji i konserwacji zabytkowego drewna budowlanego w Sanoku obradowało w ubr. ogólnopolskie seminarium. Jego dorobkowi poświęcony jest też najnowszy zeszyt drukowanych „Materiałów Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku”.

Wielkiej pracy wymagało przeniesienie drewnianej cerkiewki z Rosolina w powiecie Ustrzyki datowanej na lata 1750—1751. Obok, jak ongiś wymagał tego obyczaj, ustawiono dzwonnice, przeniesiono z Rosolina małą, drewnianą kostnicę. Ten zabytek o pięknej konstrukcji dachu, frapującej kompozycji, obok cennych elementów architektury, zawiera wiele przedmiotów rekwizytów, poczynając od starej ciężkiej kłódki, zamykającej masywne drewniane drzwi.

Z gęstwiną niewysokich drzew pięknie harmonizują ule całopienne. Na razie jest ich kilka, w przyszłości będzie cała pasieka. Dawne przemysłowe urządzenia wiejskie przypominają młynek wodny, który dawniej służył chłopom w Woli Komborskiej.

Tych kilka obiektów to początek. Plany zakładają, iż do r. 1980 w parku etnograficznym znajdować się będą 32 zagrody chłopskie, 15 obiektów przemysłowych, 4 zabudowania dworskie i plebańskie, że staną tu mostki, kapliczki, studnie. A miłny, folusz, olejarnie przeniesione ze swego „miejsca pochodzenia” będą niekiedy wprowadzane w ruch, by pokazać zwiedzającym jak ongiś wieś posługiwała się tego rodzaju urządzeniami.

Sprawa przeniesienia tak szerokiego zespołu obiektów o skomplikowanej, zróżnicowanej i dziś na ogół już

mało znanej architekturze, stanowi poważne zadanie. Niemalże udział w jego realizacji mają pracownicy działu konserwatorsko-budowlanego. Dyrektor MBL p. Aleksander Rybicki niejednokrotnie podkreśla, iż wywodzą się oni przeważnie z rodzin, gdzie wiejska ciesiołka przechodziła z pokolenia na pokolenie, znają — stwierdza — wszystkie tajemnice swego zawodu; ich zrozumieniu współzależności między obiektem a krajobrazem, sanocki skansen zawdzięczać będzie w dużej mierze harmonijne usytuowanie zabytków (oprócz niejednego szczegółu, zatraconego w toku rozmaitych przeróbek, jaki zrekonstruują ich „złote ręce”).

Niezwykle urozmaicony krajobraz za Sanem, bogato wyposażony przez naturę we fragment lasu dębowego, w polanki i jary, dysponujący terenami rolnymi i soczystymi łąkami, wymaga jeszcze poważnego porządkowania. Nadmierne nawilgocenie, kamieniste dróżki nie stanowią ułatwienia dla zwiedzających. Niemalże utrudnia sprawę brak odpowiednich funduszy: tym bardziej więc wyłania się potrzeba kierowania wszystkich możliwych kredytów na te potrzeby muzealnej placówki pod gołym niebem.

Wnętrza zabytkowych budynków — wzbogaci szereg atrakcyjnych elementów, ekspozycja narzędzi pracy, mebli, rzeźby, malarstwa, ceramiki, strojów. Już przed dwoma laty magazyny muzealne przechowywały dla tego celu ponad 2 500 eksponatów.

Pracom w MBL towarzyszą szerokie badania w terenie, realizowane przez zespół oddanych pracowników sanockiej placówki (wielu ze specjalistycznymi studiami). Tak więc przeprowadzono ponad 5 340 inwentaryzacji rozmaitych budynków, w tym kilkadziesiąt inwentaryzacji szczegółowych, sporządzono około 30 tysięcy zdjęć. Teren ten jest równocześnie przedmiotem specjalistycznych badań naukowych. Wynikiem ich jest m. in. praca doktorska Jerzego Czajkowskiego adiunkta Muzeum Etnograficznego w Krakowie nt. „Chałupa wiejska w Bieszczadach w Beskidzie Niskim i na przyległym Pogórzcu od początku XIX stulecia po dzień dzisiejszy”, gdzie nawiązuje on do ruchów osadniczych, warunków przyrodniczych itp. Niewątpliwie rozprawa ta ukaże się drukiem, wzbogacając również naukowy dorobek piśmienniczy naszego regionu.

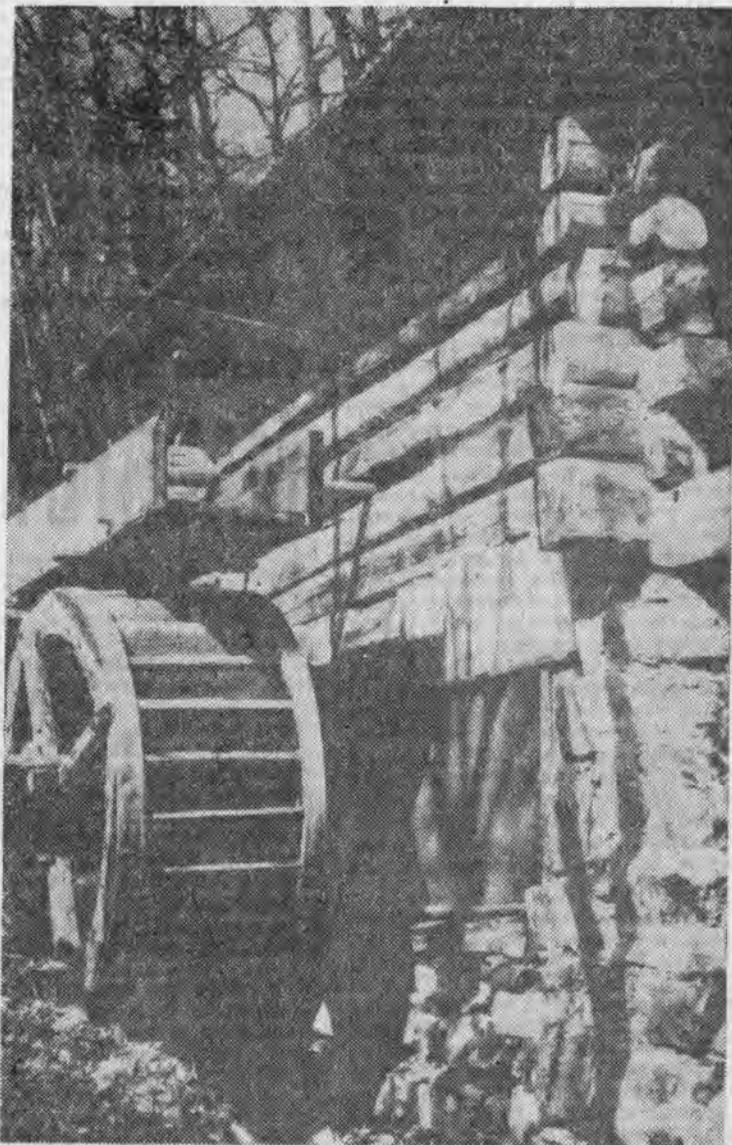
Wszystko to winno być w przyszłości udostępnione zwiedzającym. Na pewno znajdzie się też miejsce dla książek traktujących o wsi dnia dzisiejszego, dla dzieł z dziedziny literatury pięknej, jak i opracowań z zakresu polityki, ekonomiki wsi. Film, zapis z taśmy magnetofonowej, żywy komentarz przewodnika (w żadnym wypadku naiwne i bezkrytyczne wprowadzenie jakiegoś laudatora temporis acti) wzbogacą tę lekcję historii.

ponad połowa ankietowanych uprawia beletrystykę i prozę (53,5 proc.), sporo poezję (32 proc.) oraz zajmuje się przekładami (32,4 proc.); znacznie rzadziej natomiast — dramaturgią, satyrą oraz pamiętnikarstwem. W porównaniu z ankietą przedwojenną zaszły istotne zmiany; kilkakrotnie więcej było wówczas krytyków, a znacznie mniej tłumaczy.

A jak przedstawia się dorobek naszych pisarzy? Blisko połowa uczestników ankiety wydała ponad 7 książek, a 1/4 — przeszło dzieł. Przeważają pod tym względem autorzy książek dla dzieci i młodzieży, skromny natomiast dorobek ilościowy mają poeci. Utwory blisko 1/3 ankietowanych są przekładane na języki obce. W zestawieniu z wynikami ankiety przedwojennej, ilościowy dorobek współczesnych literatów jest nieco mniejszy, także większy odsetek ankietowanych wówczas publikował swe utwory za granicą. Sprawy te wymagają szczególnej uwagi.

Badaniami objęto bowiem tylko część pisarzy, a chodzi tu przecież o zagadnienia decydujące w pewnym sensie o przyszłości naszej literatury i jej upowszechnieniu za granicą.

Do refleksji skłania również „geografia” środowiska literackiego. Podobnie jak i przed wojną przeszło



Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Fragment młynka wodnego z Woli Komborskiej.

Fot. W. SZULC

Czy „Stara Baśń” za rzeką, w cieniu drzew będzie czytelna? Czy z takim nakładem starań i — wielkich funduszy — przeniesione stare budynki, zdolne będą zainteresować zwiedzających? Mam tu na myśli nie tyle turystów podążających tędy w Bieszczady, polykających szybko obiad, kilometr i w biegu zwiedzających placówki muzealne w oczekiwaniu na PKS, Myślę raczej o czytelnym lekcji, jaką sanocki skansen stanowi dla zorganizowanych wycieczek, dla młodzieży przede wszystkim, na temat dawnej wsi, całokształtu jej życia, stosunków społecznych i ekonomicznych, obyczajów, kultury, różnic, jakie ją dzieliły.

Tak bowiem wyglądała ongiś nie tylko wieś podkarpacka. Gdy przybędą tutaj ludzie z rzeszowskich wiosek, gdzie aktualnie buduje się rocznie około 10 tys. nowych obiektów, gdzie nawyk odbierania programu telewizyjnego daleko wypierza nawyk mycia zębów przed snem, gdzie przy praktyce „kółkowych” miocarn, żarna przechodzą do legendy, a własny motocykl i skuter — oprócz PKS czy PKP — staje się powszechnym środkiem lokomocji, będzie to dla nich prawdziwa s t a r a b a ś Ń.

Gdy z takiej wycieczki przywieją do domu przejrzysty, bogato ilustrowany folder, jaki Muzeum Budownictwa Ludowego wydało już (w kilku językach), obiekty ekspozycyjne w parku etnograficznym będą mogły skutecznie konkurować z innymi, niemalymi atrakcjami ośrodka Bieszczadzkiego powiatu. Nie zapominajmy, że stąd płynnie w świat s z n u r a u t o b u s o w z „Autosanu” do rozmaitych części świata, że ikony zgromadzone w muzeum historycznym stanowią jeden z najcenniejszych zbiorów, że samo miasto pełne zieleni, o bogatej historii i bardzo aktualnie prężne, może oczarować przybysza, zatrzymać go na dłużej, nawet, jeśli już tu przyjechał z folderem MBL w ręku...

...Gdy porządkowałam swoje sanockie zapiski, z foldera wypadła zasuszony kwiatek. Dlaczego go obdarłam trochę? Chyba że złości. Przypominam sobie: w grupie pierwszych zwiedzających nowo otwartą placówkę, młoda dziewczyna przede mną, na pełny gaz nastawiła tranzystorowe radio i tam za rzeką, w cieniu starych drzew, chlapkowi soltys głośno i szczegółowo relacjonował, jak to Chlapkowie nowy western kręją.

nictwach, teatrach, telewizji, instytucjach kulturalnych, administracji.

Generalnie rzecz biorąc jest to zjawisko pozytywne, umożliwia bowiem poznanie życia (brak merytorycznej wiedzy odbija się przecież na wartościach poznawczych utworów), ale nie zapominajmy również, że w wielu wypadkach, podejmowanie różnych ubocznych zajęć osłabia aktywność twórczą pisarza. W sumie są to problemy skomplikowane, które łatwiej rozpatrywać indywidualnie...

Ankieta nie zawierała pytania o pochodzenie społeczne pisarzy, co nie pozwalałoby uchwycić przemian społecznych środowiska literackiego. Dysponujemy natomiast danymi z ankiety przedwojennej, z której wynika, że zaledwie 5,7 proc. jej uczestników było pochodzenia robotniczego, rzemieślniczego i chłopskiego, natomiast 89,2 proc. wywodziło się z ziemiaństwa i rodzin pracowników umysłowych. Autorzy komentujący wyniki tych badań pisali: „...Inteligencja i ziemiaństwo stanowią o współczesnej literaturze polskiej, inne zaś warstwy, nawet kupieckie i przemysłowe, są prawie nieobecne w składzie społecznym naszego piśmiennictwa i tym samym nie mogą mu zatem nadać swego piętna. Nie ulega wątpliwości, że ta okoliczność znajduje swój wyraz w

treści naszej współczesnej literatury”.

Pogląd ten podziela wielu socjologów. Niestety, badań porównawczych w tym względzie nie podjęto. Zachodzi pytanie w jakim stopniu środowisko społeczne warunkuje charakter twórczości. Na przykładzie literatury dziecięcej związek ten jest bardzo wyrazisty. W jednym z referatów wygłoszonych na seminarium bibliotekarskim zwrócono uwagę, że we współczesnej literaturze dziecięcej zdecydowanie przeważają dzieła z rodzin inteligentnych, z robotniczych zaś występują na dalszym planie, niekiedy są to albo tzw. dzieła trudne albo zaniedbane. Natomiast dzieło wiejskie należy do rzadkości w tej literaturze. Uderza także brak znajomości realiów życia środowisk robotniczych i chłopskich.

Ale to tylko spostrzeżenia, poparte wprawdzie wieloma przykładami, a chodzi o rzeczową, metodologicznie poprawną analizę. Wyniki takich badań mogą być asumptem do podejmowania przez pisarzy problematyki słabo uwzględnianej, a także bodźcem dla kierujących kulturą, by zainteresowali twórców tą problematyką np. systemem stypendialnym czy konkursami.

Z opracowania ankiety wynika, że

połowa (59,5 proc.) pisarzy mieszka w Warszawie, drugi co do wielkości Oddział ZLP w Krakowie skupia 12,7 proc. Oddział warszawski zrzesza ponad 3/4 tłumaczy, blisko tyle samo autorów piszących dla dzieci i młodzieży, niewiele mniej dramaturgów oraz scenarzystów filmowych i telewizyjnych (65 proc.) Dodać tu jeszcze trzeba, że jedynie 2 proc. członków ZLP mieszka na wsi, a 5,5 proc. w miastach do 20 tys. mieszkańców.

Wyłania się kwestia o kapitalnym znaczeniu, a mianowicie; właściwej polityki kulturalnej celem zapobieżenia ewentualnym niekorzystnym skutkom zarówno geograficznego rozmieszczenia oraz „koncentracji” literatów uprawiających ten sam gatunek (w niektórych, zresztą proporcjonalnie mało liczebnych oddziałach przeważają literaci o tej samej specjalności). Truizmem jest stwierdzenie, że problemów tych nie można rozwiązywać środkami administracyjnymi. Nie przyniosły także w wielu wypadkach pozytywnych rezultatów czynione przez lokalne władze próby tworzenia własnego, regionalnego środowiska literackiego. Pisarzy, jak wspomniano, jest raczej niewiele, a możliwości pracy — chociażby na zapotrzebowanie instytucji upowszechniających kulturę — w dużych miastach. To mo-

że przyciąga twórców do centrów życia kulturalnego.

Problemy wyłania się więcej, a jednym z ważniejszych jest wzmiankowana już sprawa sytuacji materialnej pisarzy. A. Siciński poświęca jej w swym studium wiele miejsca, przytacza różne wskaźniki oraz wypowiedzi, porównuje warunki przed wojną i obecnie. W konkluzji dochodzi do wniosku, że sytuacja pisarzy jest obecnie nieco lepsza niż przed 35 laty, ale jedynie 15,8 proc. ankietowanych odpowiedziało twierdząc na pytanie, czy dochody z twórczości wystarczają na pokrycie bieżących wydatków.

Badania podjęte przez Zarząd Główny, a wnikliwie opracowane przez Andrzeja Sicińskiego wydatnie wzbogacają naszą wiedzę o środowisku literackim, zwracają uwagę na zagadnienia dotąd nie dostrzegane bądź traktowane stereotypowo. A co w moim przekonaniu najważniejsze, torują drogę do dalszych, pilnie potrzebnych badań nad inteligencją twórczą, jej rolą i pozycją w społeczeństwie.

ZDZISŁAW KOZIOL

\* Andrzej Siciński — Literaci i Społeczeństwo”, t. X, nr 2/1966.

**MAURYCY SIKORSKI.** Nazwiska tego nie wymienia żaden podręcznik historii literatury polskiej. Nie wymieniają go również bibliografie, słowniki biograficzne i encyklopedie. Niemal jedynym źródłem poznania życia i działalności poety są wzmianki pamietnikarskie i kroniki policyjne. Nie wiadomo dokładnie gdzie i kiedy się urodził. Swoje nieliczne utwory publikował na łamach poznańskiego „Tygodnika Literackiego” pod pseudonimem Maurycy znad Wisłoki, co pozwala się domyślać, że jego bliższa ojczyzna leżała nad tą rzeką.

Studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim prawdopodobnie w latach 1840—1844, a więc w okresie narastania fali spisków wymierzonych przeciwko reżimowi metternichowskiemu w Galicji. Mimo ostrych sankcji policyjnych, głoszących procesów i surowych wyroków skazujących podejrzanych o „zdradę stanu” na katę w osławionym Spielbergu, młodzież uniwersytecka i rzemieślnicza coraz wyżej manifestowała wolę walki o Polskę demokratyczną. Znajdowało to wyraz w radykalnej ideologii niektórych ugrupowań spiskowych.

Maurycy Sikorski, podobnie jak większość uczniów uniwersytetu, oświadczony czarem wielkiej poezji romantycznej, próbował wyrazić swoje przekonania polityczne i społeczne mową wianą. Nie mógł, rzecz jasna, ogłaszać swoich wierszy w krępowanych przez cenzurę czasopiśmie lwowskich.

Jan Zachariasiewicz, przyjaciel poety, w książce noszącej jego inicjały „M. S. Ustęp z życia mało znanych ludzi” (1854) pisał: „W tym czasie ubogi był Lwów w organa literackie. Wymieniano wprawdzie kilka imion zasłużonych w literaturze ojczystej, ale na tej mitycznej wieści kończyła się ich część i sława. Rozmaitości „Gazety Lwowskiej” odczyły okropne powieści almanachów niemieckich, opowiadały drobnym drukiem „curioza”, a „Dziennik Mód Paryskich” za szczupły miał zakres, aby mógł być ogólnym działem literackim. Przy takim składzie rzeczy usiłowania pojedyncze na polu literatury ojczystej musiały poza obrębem naszej prowincji szukać punktu grawitacji swojej i tamże obrać sobie miejsce wprawy i popisu. Tym ogniskiem łączącym podówczas usiłowania piśmienności polskiej był Poznań. (...) Odtąd oglądano się we wszystkich na Poznań, a mianowicie młodzież, garnąca się do zawodu literackiego, zwracała tamże swą twarz przy każdej myśli i uczuciu, jak muzulmanin podczas modlitwy w stronę Mekki”. Owa Mekka, do której zwracali się młodzi literaci galicyjscy, był „Tygodnik Literacki” redagowany przez Woykowski przy współudziale Edwarda Dembowskiego. Pismo, mimo wyraźnego zakazu cenzury, przenikało za kordon austriacki i tu miało wielu czytelników i współpracowników, Ignacy Kankoffer — cenzor galicyjski od 1838 roku — w styczniu 1843 roku donosił władzom gubernialnym: „Wychodzące w Poznaniu pismo „Tygodnik Literacki” wzięło sobie od dłuższego czasu za zadanie, prócz szerzenia tendencji demokratycznych, które tam występują tak jaskrawo i złośliwie, jak w żadnym ze współczesnych pism niemieckich, francuskich i angielskich, zamieszczać także artykuły o Galicji przedstawiające w sposób w najwyższym stopniu oburzający i nienawistny zarówno system administracji, jak i poszczególne organa rządu, obrażające biotem poszczególne władze, z widoczną tendencją szerzenia obok zasad demokratycznych także nienawiści do rządu (...) Urząd cenzuralny książek stara się jak przy wszystkich wydawnictwach w ogóle, tak i w tym wypadku, jak najusilniej i z najgorliwszą pilnością przeszkodzić rozszerzaniu tego pisma i jego zgubnej tendencji; jednak od dłuższego czasu starania te bywają we Lwowie paraliżowane i odnoszą tylko częściowy skutek”.

Do grona współpracowników nienawidzonego przez władze austriackie „Tygodnika Literackiego” należał także Maurycy Sikorski. Ogłosił tu kilka utworów programowych, z których wymienić należy: „Do mojej pieśni” (1842, nr 32), „Chór ptaków”, „Do przyszłości”, „Chwile tęsknoty” (1843, nr 43), „Nadzieja” (1843, nr 44). W hymnie „Do przyszłości”, podobnie jak przed laty Adam Mickiewicz w „Odzie”, zawarł poeta przeświadczenie, że tylko walka i to nie tylko z wrogami zewnętrznymi (zaborcami), ale przede wszystkim z dotychczasowym układem stosunków społecznych może przynieść Polsce wysnioną wolność:

Zedrzymy szatę  
Samolubstw z naszych dążeń,  
I kierujemy wszystkie cele  
Łącząc ku wspólnej przyszłości!  
Wszystkie! — dni tak niewiele.

Naprzód myśli! — W górę,  
w górę!  
Znieść przesądów czarnych  
chmurę,  
Co gwiazdkę szczęścia naszej  
krainy  
Kryła przez tak długi czas.  
Brącia! Za myślą niech pójda  
czynu,  
Godne wieku, godne nas!  
Wtenczas Przyszłości wniesiem  
dia ciebie  
Świątynie, jaką marzono w  
niebie,  
Dłonią poświęceń i trudu.

Czesław Klak

## MAURYCY SIKORSKI — POETA WALKI

Ideowy sens cytowanej wypowiedzi poetyckiej jest jasny. Jej akcent spoczywa na „czarnej chmurze przesądów”, która utrudnia integrację narodu i oddala chwilę zwycięstwa. Sikorski zdawał sobie sprawę z polowiczności niektórych programów politycznych, które wprawdzie przewidywały walkę polityczną, ale bez żadnych następstw w strukturze społecznej. Żądał więc czynu, poświęcenia i trudu w imię sprawiedliwości dziejowej przekreślającej przesady i nierówność stanową. Polemizował również z koncepcją wysuwającego się z szeregu bohatera. W zanotowanej przez Zachariasiewicza „Improwizacji” wołał:

I cóż, gdy zamiat tchu  
Z mojej pierś wyłata krew!  
Kłóży krewawy pojął śpiew,  
I użyczył ucha mu?...  
Gdybym ogniem w gazy tchnął,  
Wspólnej nędzy podniosł głos,  
Własnym ciałem więzy zgął,  
W pierś morderczy schwył  
cios...

Łzę bym tylko stracił wam!  
Sam bym cierpiał, byłbym sam!  
Na cóż szatę pustych brzmień?  
Na cóż szudy marnych słów?  
Tyle myśli ile głów!  
Ale w czyn twe myśli zmień!

Myśl-Czyn razem gdyby grom...

Z górą pół wieku później Stanisław Wyspiański w „Warszawiance” ustami Chłopcickiego powie to samo:

...ci młodzi romantyzują;  
oni poetyczni są — udzielne  
króle  
fantazji, każdy z nich gra  
wielką rolę  
komandorską;  
patrzę po czołach, wszędzie  
samowolę  
bajrońską czytam.

Maurycy Sikorski uważał się za żołnierza rewolucji. Poezję uważał jako jeden ze środków propagandy ideałów wolnościowych i demokratycznych. Jej działanie na inne sfery świadomości ludzkiej wydawało mu się szkodliwe, zwłaszcza w przededniu oczekiwanej walki. Z uporem powtarzał: „...duch ludzki pragnie dzisiaj uniesmiertelnić się nie w tęczowym blasku widziadeł chwilowych, ale w bliskawicy czynu”. Stąd dezaprobatę poezji „szatę” i „pustych brzmień”, stąd próba zastąpienia bohatera indywidualnego bohaterem zbiorowym. Znamionowało to narastanie tendencji skrajnie rewolucyjnych i zbliżało ideologię Sikorskiego do ideologii wodza przyszłej rewolucji — Edwarda Dembowskiego. Tak też poezje jego przyjmowane były przez współczesnych. Jan Zachariasiewicz w cytowanej książce wspomina: „Był wiecór późnej jesieni. Zaczęłam czytać pisma poznańskie. (...) Najbardziej podobały mi się poezje pod cyfrą M. S. (...) Wiersz gładki i potoczny zdradzał pióro wyrobione i lekkie, a obfitość pięknie ustrojonych myśli i uczuć okazywały talent niepospolity. Odczytawszy je, można było jednak wnosić, że poeta wychodzi już z koła młodzieńczego szatę, senliwe gwiazdy pierwszych rozbudzonych uczuć już przygasnąć zaczęły, przed wschodem jednej dużej gwiazdy, która, chociaż sny nasze odbiera, jednak marzenia nasze na życie zmienia. A to życie wiele u niego ma nowych rozkoszy?”. Wyraźniejszej pochwały radykalizmu autora hymnu „Do przyszłości” Zachariasiewicz nie mógł dać ze względu na cenzurę.

Maurycy Sikorski nie ograniczał się do pisania wierszy agitacyjnych. Zgodnie ze swoją ideologią czynu, w ramach Towarzystwa Demokratycznego, które miało we Lwowie swoje agendy, przygotowywał młodzież do wystąpienia zbrojnego. Działalność polityczną na większą skalę rozwinął jednak po przybyciu do Lwowa genialnego emisariusza — Edwarda Dembowskiego. Z inicjatywy tego nieustraszonego rewolucjonisty powstał w stolicy Galicji Komitet Rewolucyjny w składzie: Alojzy Bo-

berski, Maurycy Sikorski i Marian Sroczyński, który w imieniu Rządu Narodowego miał kierować przygotowaniem do powstania. Sikorski wtajemniczony w zamierzenia przywódców spisku z niezwykłą gorliwością i oddaniem przystąpił do pracy agitacyjnej, a później, mianowany dowódcą wojskowym powiatu samborskiego, rozwinął działalność we wsi Horożanie, gdzie miała nastąpić koncentracja oddziałów powstańczych. Dyrektor policji lwowskiej Leopold Sacher-Masoch, znany prześladowca młodzieży polskiej, w

nieść sztandar rewolucji. 21 lutego nie zważając na groźny opór zgromadzonego pod dworkiem Czaplickiego ruskiego chłopstwa przemówił po raz ostatni. W jednej dłoni trzymał pszenicę, w drugiej owies. „Patrzcie — wołał do chłopów — ta pszenica to są panowie, szlachta, dzierżawcy i urzędnicy pańscy, a owsem jesteście wy. Tak było w starym państwie polskim i tak jest pod rządem cesarskim. Panowie byli i są zawsze czymś lepszym od was. Dlatego robimy teraz rewolucję. Jeżeli ona się uda, nie będzie już

braćmi, Polakami, wolni i szczęśliwi”. Słowa te nie zrobiły wrażenia na chłopstwie. Jeden z nich krzyknął: „Nie wiercie panom, oni chcą utrzymać starą Polskę, w której szlachcie mogli za 15 polskich guldenów chłopca zabić”. Pamięć o wielowiekowych krzywdach i poniżeniach przemogła. Zaczęło się obalenie. Maurycy w czasie ucieczki, nie chcąc strzelać do zagradzających mu drogę chłopów, zdecydował się na samobójstwo. Ciężko rannego w brzuch dobito dragami. Świadek wydarzeń Władysław Czaplicki („Powieść o Horożanie” 1862), podówczas osiemnastoletni młodzieniec, tak go charakteryzował: „Maurycy Sikorski był wzrostu małego, ale dość krepki, blondyn, cokolwiek łysy, mądre wypukłe czoło, oko siwe, wąs dojrzałego mężczyzny, usta wydatne, twarz cała więcej okrągła niż ściana, całość okazywała zimną rozwagę i rozum, im mniej głęboko myślącego człowieka, w ogóle szlachetnego”.

Maurycy Sikorski należał do grona rewolucjonistów, którzy słowem i czynem walczyli o sprawiedliwą, demokratyczną Polskę. Poniósł śmierć nie z rąk chłopów. Przygnioty go zadawnione krzywdy ludu wiejskiego, których w porę nie zdolano naprawić.

panów i nie będzie chłopów, będą tylko polscy obywatele”. Po tych słowach zmieszał pszenicę z owsem, rzucił w powietrze i dodał: „Idźcie teraz i szukajcie owsa i pszenicy. W ten sposób po rewolucji nawet Pan Bóg w niebie nie będzie mógł rozróżnić panów od chłopów. Wszyscy będziemy tylko

## PO KONKURSIE...

Przed trzema miesiącami Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach i Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków ogłosili ogólnopolski konkurs urbanistyczno-rzeźbiarski na Pomnik Bohaterów Ziemi Kieleckiej. W ubiegłym miesiącu zakończyło swe prace jury, a w początku września ogłoszono oficjalne wyniki konkursu.

I nagrodę zdobyła praca artysty rzeźbiarza Stefana Majchrzyka z Poznania.

II nagrodę praca trzech autorów z Krakowa: Bogumiła Zagajewskiego, Bogumiła Zaufala i Marka Jabłońskiego.

Laureatami trzeciej nagrody są plastycy rzeszowscy: Andrzej Smoczeński, Krzysztof Bukala i Władysław Boczkaj. Czytelnikom „Widnokręgu” winien jestem krótka prezentację nagrodzonych rzeszowian.

Andrzej Smoczeński jest architektem wewnątrz związanym z Rzeszowem od lat ośmiu. Jest on autorem szeregu interesujących rozwiązań architektonicznych m. in. wewnątrz kina w Tarnobrzegu, klubu Domu Kultury WSK, szeregu lokali handlowych i usługowych.

Szczególne uznanie zyskała praca plastyczna rzeszowskiego Domu Sztuki projektowana przez Andrzeja Smoczeńskiego i Mirosława Koziołkiewicza. Projekt wnętrza A. Smoczeńskiego wyróżnia się elegancją, spokojem, prostotą, co na tle krzykliwej pstrokacizny szeregu realizacji z tego zakresu jest szczególnie cenną zaletą.

Krzysztof Bukala jest artystą rzeźbiarzem, który przeszedł drogę podobną wielu rzeszowskim plastynom. Po ukończeniu Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie studiował rzeźbę na krakowskiej ASP w pracowni prof. Jacka Pugeta. Od roku 1963 przebywał w Rzeszowie, gdzie bierze czynny udział w wystawach rzeszowskiego środowiska plastycznego. Jest twórcą szeregu pomników obelisków, zajmuje się pracą projektową z zakresu brązownictwa i medalierstwa. W konkursie na odznakę „Zasłużony dla Województwa

Rzeszowskiego” Krzysztof Bukala zdobył I miejsce. Odznaka ta została zrealizowana i nosi ją dziś wielu zasłużonych ludzi Rzeszowszczyzny.

Władysław Boczkaj godzi z powodzeniem dwa zawody: inżyniera i artysty. Ukończył Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej i Wydział Architektury Wnętrz ASP w tym mieście. Jest kierownikiem Miejskiej Pracowni Projektowej przy Prezydium MRN w Rzeszowie. Uprawia architekturę wewnątrz, współpracuje z plastykami różnych specjalności przy poszczególnych tematach.

Z rzeszowskimi laureatami Konkursu rozmawiam tu po uroczystości wręczenia nagród, która odbyła się w czwartek ubiegłego tygodnia.

— Pozwólcie, że rozpocznę naszą rozmowę od gratulacji, z okazji nagrody zdobytej w niełatwej konkurencji.

Chciałbym zapytać o kilka szczegółów dotyczących konkursu. **ANDRZEJ SMOCZEŃSKI:**

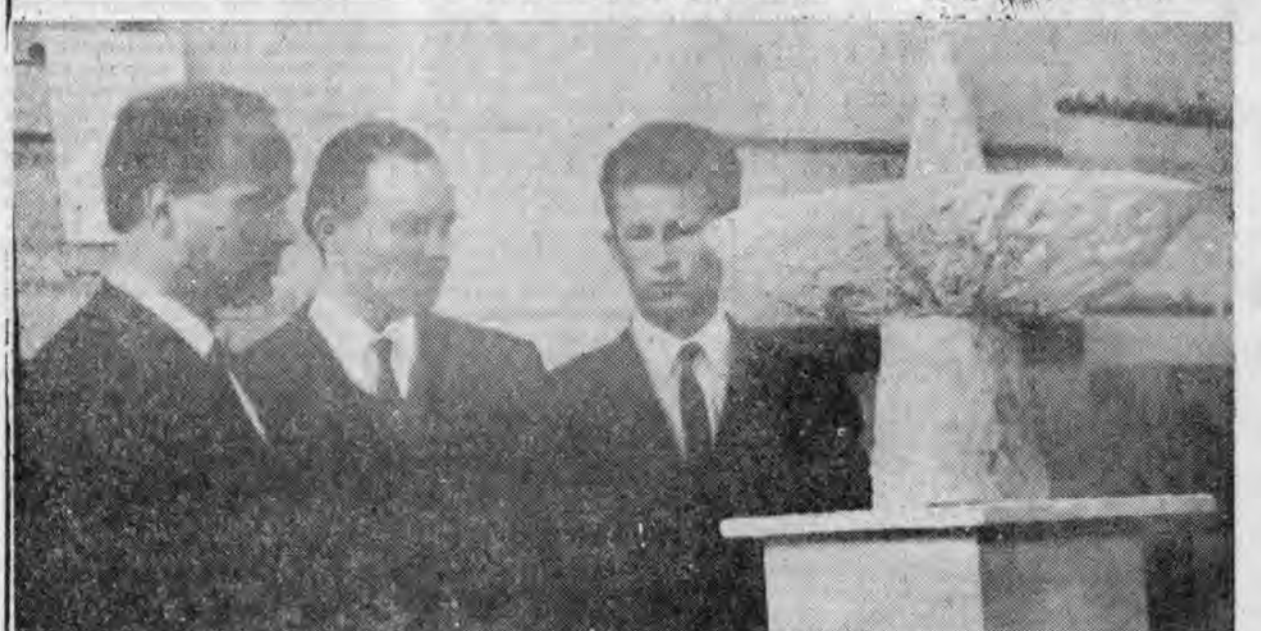
— Konkurs na Pomnik Bohaterów Ziemi Kieleckiej był trudny, choć równocześnie bardzo atrakcyjny. Obejmował on kilka zagadnień rzeźbiarskich i architektoniczno-urbanistycznych. Przed uczestnikami konkursu stanęły nie tylko problemy plastyczne, ale i sprawy daleko szersze.

**J. A. — na przykład...**  
— Warunki konkursu określały główne ciągi komunikacyjne i zabudowę istniejącą i projektowaną. Projektant miał za zadanie wybrać jak najlepszą lokalizację pomnika i zorganizowanie przestrzennego otoczenia.

**Krzysztof Bukala:**  
— Pomnik według tych założeń miał być oglądany ze wszystkich stron i w związku z tym trudno się było zdecydować na formę pomnika.

**J. A. Wybraliście formę, można by ją nazwać obrotową. Czy właśnie z tych względów?**

(Ciąg dalej na str. 6)



# Adam Januszek Pięć INNE ŻYCIE

/FRAGMENT OPOWIADANIA/

Pytała się wszystkich po kolei, ale nikt nie wiedział, gdzie mieszkają ci, co występują w Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Nawet pan kierownik zapomniał. Podrapał się z zakłopotaniem po lysiej głowie, kiedy go o to zagadnęła i rzekł: — Dowiem się w powiecie, Hanuś. Jutro tam jadę samotnie różno rakię sprawę, w komitecie będę, więc spytam któregoś sekretarza, może pierwszego... Chociaż nie, pierwszemu nie wypada zabierać czasu takimi drobiazgami, pójdę zatem do wydziału propagandy, bo oni kulturą się także zajmują, pogadam, w notesie sobie adres zapiszę i jak wrócę, to to ci Hanuś, doładnie powtórzę.

Podziękowała pięknie panu kierownikowi i wdzięczna mu była ogromnie za tę dobroć, którą jej wciąż okazywał, za książki wypożyczone z prywatnej biblioteczki, a przede wszystkim za naukę nut, bo przedtem śpiewała tylko ze słuchu, nie wiedząc nic o tym, że melodie można zapisać tak samo jak zapisuje się słowa. Teraz zna już nuty i ma w swej szufladzie wielki stos zeszytów, w tych zeszytach widnieją ładnie wykreślone pięcioletnie; obserwując małe czarne punkciki, co obsiadły biały papier gęsto jak wróble telegraficzne druty — otwiera szeroko usta i zaczyna śpiewać.

— Czego się drzesz, Hanka? Milknij natychmiast, gdyż ojciec patrzy na nią groźnie i sapie. Jak sapie, to wiadomo: tata zły i zaraz będzie się pienił i krzychał, aby tylko nie uderzył, mój Boże, bo rękę ma twardą niczym kamień, sińki zostają potem na ciele, a wstyd przed ludźmi.

— Krowy oporządzała?  
— Jeszcze nie.  
— Czego?!  
— Bo nie zdążyłam. Czasu mi brakuje...

— A na darcie się to czas masz? Na głupie śpiewki czasu nie żałuj! Mówię ci, Hanka, jeszcze raz po dobroci, patrz z czego żyjesz. Nie zwracaj się głową bzdurami. Możesz zresztą i pośpiewać trochę, ale przy niedzieli, gdy już wszystko zrobione. Roboty mi pilnuj, Hanka, krów doglądaj jak się należy i nie złość mnie więcej, bo popamiętasz!

Wzięła skopiec i poszła do obory. Kiedy zbliżyła się do krów, Krasa polizała ją po twarzy ciepłym językiem. Pomyślała wtedy, że czasami zwierzę lepszy jest i czulszy od człowieka, od własnego ojca nawet... Zaraz jednak przeraziła się swej myśli bluźnierczej. Boże drogi, co ja też plotę po cichu, co ja za głupstwa opowiadam sama sobie, przecież tata chce jak najlepiej dla mnie i źle mi nie życzy, a mówi tak, bo pragnie, żeby mi dobrze było w życiu.

Przymknęła oczy. Jej usta skrzywione nieco jak usta małego dziecka, któremu na plac się zbiera, rozchylił nieśmiały uśmiech. Krasa obróciła do tyłu swój łeb z tępo spłowanymi rogami i trzaskając się po grzbiecie ogonem, patrzyła na Hankę, wodząc za nią zatawionym wzrokiem. A Hanka, stojąc wciąż w tym samym miejscu niczym skamielina, zapatrzyła się gdzieś daleko przed siebie. Przekładając z ręki do ręki skopiec, nie widzi nic, co się dzieje koło niej, nie dostrzega krów i nie słyszy ich cichego pomruku. Mając oczy nadal przymknięte, uśmiecha się radośnie, gdyż widzi przed sobą życie, długie i piękne.

Trwając wciąż w zapamiętaniu, które ją ogarnęło, zobaczyła Hanka przed sobą morze szerokie, wodę błękitną jak niebo i zlaną z niebem w jedno, że aż odróżnić trudno, co jest niebem, a co morzem. Falujący błękit podpywa jej do stóp, porwała ją ze sobą i Hanka, nie broniąc się wcale, płynie już przez oceany do krajów dalekich. Zawszą otacza ją niebieska woda. Patrząc na nią, chce zapamiętać jej barwę i wymyślić farby. Bo Hanka oprócz śpiewania lubi także malować. Ma trochę farb kupionych w miasteczku. Kiedy zmęczy ją śpiewanie, nauka nut i codzienna robota, idzie na brzeg, porośnięty gęstą wikliną, żeby popatrzeć jak słońce kąpie się w rzece, a srebrzysta woda ciemnieje nagle, wypełniając się błynacem wolno ciężkim złotem. Próbuje Hanka malować. Rozpuszcza woda guziczki farb. Dotyka pedzlem złotego krążka, ale ta barwa rzucona na papier nie przypomina barwy słońca. Martwi się Hanka, bo innych farb w miasteczku dostać nie można, tylko guziczkowe i takie właśnie jak

te, które już ma, czerwone, niebieskie, zielone i żółte, lecz chociaż żółte, to jednak niepodobne do słońca.

Utonęła Hanka w swoich myślach. Oczy ma przymknięte i żeglują po morzach szerokich, nie widząc Krasę, która szarpie się na łańcuchu, odwracając ku niej swój wielki łeb. Nic nie dostrzega Hanka, oślepła zupełnie, ogłuchła na wszystko, co ją otacza, szum fal tylko słyszy, krzyk mew i głos okrutnej syreny, która wyć zaczęła i wyje coraz potężniej i tak przeraźliwie, że znieść tego dźwięku nie można, bo uszy pękają. Dlaczego ona tak ryczy... — dziwi się Hanka, otwierając oczy. Rozgląda się wokół jak człek przebudzony z głębokiego snu, patrzy, a tu żadnego morza nie ma koło niej, żadnego błękitu, czarno, śmierzdi gnojem, krowa otwiera szeroko pysk i znów zaczyna...

— Ach, ty cholero! — mówi Hanka. — Przestań, zamknij się, czego ryczysz...

Krowa liże ją po twarzy ciepłym językiem i Hanka przestaje się zło-



ścić: gładzi Krasą po grzbiecie, szepcząc jej do ucha:

— Na nic twoje umięgi, głupia, ja wiem, że ty mnie lubisz, bo nie uderzę cię jak tata, niekiedy nawet popieszczę trochę, ale to skończy się niedługo, wkrótce ktoś inny będzie cię doglądał, gdyż ja wyjadę, czekam tylko na to, aby pan kierownik wrócił i podał mi ten adres.

Pan kierownik zapomniał jednak o swojej obietnicy. Wrócił, owszem, wrócił, lecz w nie najlepszym humorze. Ludzie powiadali, że wyjechał do cna podczas tych kilku godzin, kiedy go nie było. Bo męczyli go tam w komitecie jak mało kogo, pytając o te państwowe pieniądze przeznaczone na remont szkoły. Do ściany go przypierali pytaniami, a on pociał się biedaczek i ramionami beładnie wzruszał. — Słowo daję, nie wiem, towarzysze... Ten majster chyba... On mi się z samego wyglądu już nie podobał. Oczka kaprawe, ręce latające...

Nie daj wiary kierownikowi. — Waszym obowiązkiem było przypilnować i rozliczyć się prawidłowo, towarzyszu, rachunki przedkładając, a wy co... O oczkach kaprawych nam tu opowiadacie, o rączkach, chyba prokuratorowi powiecie coś więcej...

Do cna wylisiał pan kierownik. Jego małżonka, która w zimie w pięknym futrze paradowała, mówi, że nie śpi chłop po nocach, wokół stołu spaceruje niby lunatyk i nie do ust nie bierze. Jak tak dalej pójdzie, to zamartwi się na śmierć. Zaufanym zwierza się potajemnie, iż u proboszcza była i na mszę złożyła ofiarę. Jeśli bowiem ludzie litości w sercach nie mają, to może Pan Bóg...

Nie ma Hanka śmiałości przystąpić teraz do pana kierownika i pytać go o ten adres, co jej obiecał przywieźć. Kręci się pod jego domem, chodzi wokół szkoły, ale żeby zająć do mieszkania brakuje jej odwagi. Sama nie wie, co ma robić. Sierpień już i żniwa się kończą, je-

steń za pasem, wieczory coraz dłuższe i chłodniejsze, bo słońce wcześniej zachodzi, a ona jak nie wie, działa tak nie wie dalej. Gdyby chociaż radio było w domu! Przez radio nadają różne komunikaty, możliwe, iż powiedzieliby również coś o Mazowszu. Ale radia nie ma. Po co w domu radio, skoro światła jeszcze nie podłączyli. Słupy dopiero przy głównej szosie.

Pod koniec sierpnia zaczęto wyjeżdżać do miast. Do najróżniejszych szkół jechali i przychodzili zegnąć się z Hanką. — Ty nigdzie? — pytali. — Zostajesz tutaj, przy krowach... — Dziwili się trochę, bo Hanka była pojętna, pan kierownik zawsze ją chwalił na lekcjach. Przyglądając się jej uważnie, czy czasami nie kpi sobie z nich, powtarzają uparcie swoje pytanie: — Naprawdę zostajesz?

Hanka płacze. — Nie smuć się, Hanuś, bo nie ma czym — pociesza ją ojciec. — Oni tak tylko przez zazdrość gadają. Wszak ty teraz jak jedynaczka. Inni z domu już poszli, gospodarują na własnym i rodziny mają, a ty sama, z mną jedynie... Tobie, Hanuś, będzie tutaj dobrze jak w niebie i wszystkie morgi twoje!

Co z tego, skoro Hanka nie pragnie wcale ojcowskich morgów. Inna na jej miejscu na pewno by się ucieszyła, pocałowałaby w rękę staroego i za jakimś kawalerem zaczęłaby się oglądać, chwając sobie ojcowską łaskawość. Ale to niepodobne do Hanki. Ona nawet na chłopaka nie spojry. Oglądają się za nią

kursować i nie wydotaną się stąd później, jeśli teraz tego nie zrobię, dziś, jutro lub pojutrze...

Któregoś ranka zaniepokoił się ojciec Hanki. Przebudzony głośnym rykiem krów, zamrużył do światła oczami i nadsłuchując. Śniło mi się czy co... — myśli, ale krowy nie milkną, rycząc coraz głośniej. Odrzucił stary pierzyna i wygramolił się z łózka.

— Ogłuchłaś, Hanka? Krowy ryczą jakby je rżnięto, a ty gdzie... Hej, Hanuś, Krasą trza oporządzić, słyszysz, no czego milczysz, ej-że, Hanuś, bo się zeżle!

Wola stary i przez okno wygląda, jednakże nikt mu nie odpowiada; jego własny głos odbija się od ścian i echem doń wraca. Przeraził się stary. Co jest z tą dziewczyną? Pośpiesznie wsłagnał portki i nie zdążywszy pozapinać koszuli, która wylała mu na wierzch, poszedł do sąsiadki.

Wasyłkowa akurat była na podwórzu, karmiła kury, sypiąc im ziarno.

— Hanka tu nie było?

— O co to pytanie? — Wasyłkowa niechętnie odwróciła głowę, spoglądając na starego. Obrzuciła go drwiącym spojrzeniem i rzekła: — Koszulę wsadziłeś se w portki, bo wam tyłek przeliera. Caikiem skapcałeliście od czasu, jak wam kobieta zmarła. Dlaczego tak...

— Wola boza — warknął stary, szarpając się z koszulą, która nie chciała słuchać jego grubych palców. — Zmarła, bo zmarła. — Doprowadził się jakoś do porządku i mówi: — O Hankę pytam, nie widzieliście jej?

— A nie...

— To gdzie ona?

— Może u chłopaka jakiegoś. Zasnęli se w brogu na sianku i dobrze im. Noce jeszcze ciepłe. Budzika pewnie zapomnieli wziąć ze sobą i czas im się pomylił, myślą, że to zmierzchn dopiero.

— Nie — mówi stary głową kręcąc. — Moja Hanka taka nie była. Porządna z niej dziewczyna, żadna tam latawica! Co wy mi tu, Wasyłkowa, o budzikach opowiadacie? — zdziwił się nagle.

— To ja już nie wiem — odparła Wasyłkowa. — Czy ja jej matką albo krewną jakąś, nie moja rzecz pilnować dziewczyny, sami ją sobie pilnujcie, a jak upilnować nie umiecie, to głowy innym nie zawracajcie, bo każdy ma dosyć własnych trosk i cudzych nie potrzebuje.

Pyskata baba z Wasyłkowej. Nie każdy ją przegada — pomyślał stary. — Zła dziś w dodatku, że bez kija do niej nie przystępuję. Nie ma co, pójdę, nie będę stał i plot podpiekał, wrócę do domu, zobaczę, a nuż Hanka już przysłała... — Podreptał w stronę swoich zabudowań. Zanim jednak zdążył dojść do bramy, już krzyknął niecierpliwie: — Hanka, co z tobą? Nie chowaj się, wyjaź!

Cisza. Nikt się nie odezwał na jego wołanie. Pies tylko wyjrzał z budki i pomełwał ogonem; uderzony kamieniem, szczełknął krótko i dzwoniąc żelaznym łańcuchem skrył się w kacie, cicho skowycząc.

Będzie mi tu wyl jak na porgrzeb — mrknął stary. Porozglądał się wokoło, ale Hanka nigdzie nie spostrzegł. Nie było jej w ogródku i na drodze, i nie było jej także w polu, co zaczyna się zaraz za sadem. — Gdzie ona się podziała — pomyślał stary. — Co się z nią mogło stać? Przecież dziewczyna nie kamień, do studni nie wpadła i rzeka jej nie porwała, bo woda płytka u nas, dno widać z brzegu.

Hanka szła drogą. Wrześniowe słońce, choć zimniejsze od tego co praży latem, grzało mocno. Pot wąskimi strużkami ciekł jej po twarzy, zgarbiała go dłoń, ale to niewiele pomagało. Przystanęła więc na moment i wytarła chustką twarz. Powtarzała tę czynność tak długo, tak dokładnie i zawzięcie, dopóki nie poczuła upragnionej suchości policzków, które wreszcie przestały się lepić. Później, nim ruszyła dalej, zdjęła buty i poniosła je w ręku razem z torebką.

Teraz szła się jej znacznie lżej. Nie uwierała twarda skóra butów, obdzierająca stopy aż do krwi. Kiedy usłyszała za sobą warkot nadjeżdżającego motoru, przeczucie usunęła się na skraj drogi. Mijający ją motocyklista zwolnił trochę i odwracając głowę w jej kierunku, zawołał:

— Daleko to?

— Do miasteczka.

Zatrzymał się w miejscu. Gdy Hanka podeszła doń bliżej udając, że go wcale nie spostrzegła, wskazał dłońmi puste siodło.

— Siedząc, panienko, podwożę! Do miasteczka jeszcze kawał... Trzeba było zaczekać na autobus, nie lepiej to samochodem jechać niż iść w takim kurzu...

Pewnie, że lepiej — pomyślała Hanka. — Ale ten grubawy szofer znów by się czepiał i spokoju by jej nie dał, gadałby jak najęty lub cu-

kierkami częstował. To gorsze od upału i zniechęcia, lepiej dusić się kurzem niż mdłymi cukierkami.

Tamten wciąż ją obserwował.

— Nie chcesz się przejechać?

Hanka podejrzliwym wzrokiem obrzuciła postać mężczyzny, który — czując na sobie jej badawcze spojrzenie — mrknął „aha” i jakby zaczął się czegoś domyślać.

— Już wiem — powiedział, — Boisz się, co?

Odpowiedziała mu milczeniem.

— To dobrze, że się boisz — rzekł, wolno wypowiadając słowa. — To bardzo dobrze i bardzo mnie cieszy, bo ja myślałem sobie, że chłop już ze mnie do niczego. Dwie córki mam większe od ciebie, panienko, a na głowie lysinę gładzą od tego helmu. Stukając dłońmi po ochronnym, motocyklowym kasku, który zadudnił pod jego palcami, zaśmiał się głośno i beztroško.

Jego śmiech udzielił się Hance, był zaraźliwy jak katar i Hanka, chcąc nie chcąc, musiała się uśmiechnąć.

— Więc jak? — spytał — Jedźmy?

Hanka nie była jeszcze zdecydowana, wahała się...

— Panienko, bo ja nie mam czasu!

Przejeżdżający koło nich samochód zatrzymał hałaśliwie i wzblił tuż samego prochu, który zakłęblił się w powietrzu opadając na ziemię białawą mgłą.

Jeśli nie pojade, to w miasteczku będę dopiero na południe — pomyślała Hanka. — Chyba zabiorę się z nim, on, człowiek starszy, spokojnie wygląda i nic złego mi nie zrobi...

Tamten już odjeżdżał.

— Zaczekajcie!

Dogoniła go i usiadła za nim, przyciskając się do jego szerokich barów.

Jednak namyśliła się panienka — powiedział mężczyzna, zapuszczając motor. — A ja sądziłem, że panienka strachliwa, wypadku, się boi albo mnie... Zresztą i racja, różni teraz motorami jeżdżą, można się czasem pomylić. Ale namyślać się trzeba krócej, bo jak panienka będzie tak długo medytować przed ślubem, to kawaler sprzed ołtarza ucieknie! — Zaśmiał się i ruszył.

Hanka zobaczyła ziemię uciekającą jej spod nóg. Przymknęła oczy, gdyż ostre powietrze biło mocno, a małe muszki uderzały w twarz, kłując niczym igły. W uszach gwizdał wiatr. Przyleciał nie wiadomo skąd świszcząc głośno i tak przeraźliwie, że Hanka skrzywiła się z niesmakiem. Potem dopiero, kiedy wsłuchała się uważnie w ten gwizd, znalazła w nim znajomą sobie melodię: śpiew drzew targanych listopadowym wichrem, szum dojrzewających zbóż i zapach świeżych traw unoszący się we wiosennym powietrzu. Otworzyła gwałtownie oczy i zdziwiła się, bo to wszystko — o czym myślała przed chwilą — uciekało od niej gdzieś w dal. Lasu nie było już widać, po rzece nie zostało ani śladu, zniknęły rozległe łąki i żółtawe ścierniska. Gdzie one się skryły? Niespokojnie oglądała się poza siebie, jakby chciała je zatrzymać... Motor zachybotał.

— O rety! — wrzasnął motocyklista. — Niech panienka się nie kiwa, bo rąbnę w drzewo! A przecież chce żyć...

— I ja też — szepnęła Hanka i pomyślała sobie, że w tym jednym wszyscy są do siebie podobni jak dwie kropki wody. On i ja chcemy tego samego, tylko że każde inaczej... Tu się różnimy. Ja wolę inne życie niż to, które ma tata i które miałabym ja, gdybym nie uciekła... Ale uciekałam i będę żyła tak jak chcę, nikt mi tego nie wzbroni, będę śpiewała i tańczyła! — Uśmiechnęła się do swojej myśli. Przywarła mocno do pleców mężczyzny, bo motor podskoczył na wybojach; przedko jednak wyrównał i warcząc monotonnie pedził drogą wśród pól.

— Nie za szybko jedziemy?

— A co? Boi się panienka? A może mdli od przedkłej jazdy? Zaraz zwolnię...

Hanka zdążyła już przyzwyczaić się do szybkości. Zmieniające się w oczach obrazy: migające drzewa, pola i domki porzucane dookoła — przypominały film, który kiedyś oglądała w miasteczku. Musiała jednak przyznać w głębi ducha, że to jest ładniejsze niż film, bo jest prawdziwe. I dlatego chyba, zapytana ponownie przez motocyklistę, czy on ma zahamować, odparła, że nie trzeba. Teraz, gdy pęd motora nie robił na niej wrażenia, śpieszno jej było do własnego życia, które sobie wynisła. Marzyła o tym, aby ono zaczęło się jak najwcześniej. Nachylając się nad uchem motocyklisty, krzyknęła, zagłuszając swym głosem świst wiatru.

— Czy możecie lecieć jak ptak? — zawołała. — Nawet szybciej niż ptak! Słyszycie...

Skinął głową na znak, że zrozumiał.

— Spróbuję — powiedział i do-

dał gazu.

# MAŁY FELIETON

Koniec czasów! Pozostały tylko słodkie iluzje wspomnienia o lenie natury, o słonecznych plażach, o biwakach w głębi lasów, o malowniczych krajobrazach i księżycowych nocach.

Spędziłem urlop w górach, w domu czasowym nad kryształową rzeczką. Natychmiast po przyjeździe wybrałem się na spacer — rano był świeży i orzeźwiający jak woda sodowa, niebo jak rozwodniona ultramaryna, słoneczko przgrzewało, a w lesie świergotało piactwo.

Nagle spotkałem kobietę przedudnej urody — piękna była jak Jutrzenka Różanopalcu. Zjawiała się i — znikła, zdążywszy wścżyć w moje serce zaczarowany jad miłości.

W następnych dniach szukałem jej — daremnie. Rozwiała się jak miazga na bezbrzeżnej pustyni.

Marzyłem o niej. Myślałem o jej oczach, które były słodkie jak cukierki i o jej postaci, która była smukła jak topola na ojczyściej miedzy.

Dopiero po tygodniu spotkałem ją na plaży. Podeszedłem, zawarliśmy znajomość i przez kilka godzin rozmawialiśmy o poezji. Pod wieczór okazało się, że uczucie moje nie jest bez wzajemności.

Co tu dużo gadać? Przez dziesięć dni byłem najszczęśliwszym człowiekiem na naszej półkuli. Dopiero w jedenastym dniu zauważyłem na jej twarzy zmarszczki. W dwunastym

dniu zrozumiałem, że nigdy pięknością nie była. Prawdę mówiąc, miała kilka irytujących nawyków. Mówiła dużo i od rzeczy. Śmiała się nie wtedy, gdy należało. Ponadto chrapała. Potrafiła wypić w ciągu dnia wiadro piwa — ogromnie lubiła pić piwo.

Pod koniec turnusu stało się jasne, że moja miłość była tylko jeszcze jedną zwykłą omyłką.

Mimo to urlop był piękny, bo przecież nie dla flirtów i nie dla amarów — jeździmy na wczasy, lecz po to, by na brać sił do dalszej czteromiesięcznej pracy — aż do następnego urlopu. A potem zobaczymy...

KALMAN SEGAL

## PO KONKURSIE...

(Ciąg dalszy ze str. 4)

**WŁADYSŁAW BOCZKAJ:** Jak najbardziej. Dlatego zlokalizowaliśmy pomnik u zbiegu dwu ulic zachowując i wykorzystując istniejącą zielen i różnicę terenu.

**J. A. Czy konkurs spotkał się z dużym zainteresowaniem artystów i architektów?**

**ANDRZEJ SMOCZEŃSKI:** Wydało mi się, że tak. Wpłynęło na niego 68 prac architektoniczno-rzeźbiarskich z terenu całej Polski, z większych i mniejszych ośrodków plastycznych. Uczestniczyliśmy w otwarciu wystawy konkursowej i uroczystości wręczenia nagród. Bardzo ważny jest tu fakt, że dzięki tego typu konkursom możliwa jest równorzędna rywalizacja różnych koncepcji plastycznych i środowisk. W konkursie brali udział bardzo młodzi twórcy i profesorowie wyższych uczelni plastycznych.

Uczestnictwo w konkursie dzięki jego anonimowości pozwala sprawdzić własne możliwości i powiedzieć sobie szczerze pozbędnych kompleksów... Było nam bardzo przyjemnie, że wśród nagrodzonych znaleźli się nasi koledzy z krakowskiej ASP, jak np. Bogusław Zagajewski.

Wasze najbliższe plany?

**K. BUKAŁA:** Trzeba będzie chyba przemyśleć to, co widzieliśmy na wystawie w Kielcach. Była to interesująca konfrontacja.

**W. BOCZKAJ:** Są ogłoszone dwa konkursy architektoniczno-rzeźbiarskie. Chcemy w nich wziąć udział.

Rozmawiał ADOLF JAKUBOWICZ



STEFAN ZAWIŚLAK —  
pracownik Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie

RYŚ. J. SIENKIEWICZ

## KOLOROWE MYŚLI

Nie wszystkie gwiazdy prowadzą do żłobu.

Batwan, ale oryginalny, bo z nowej fali.

Był to uśmiech losu. Ale uśmiech politowania.

Na nic skrzydła, kiedy mózdek ptasi.

Młodość trwa krótko, ale za to jak długo można ją wspominać.

Wymieniając poglądy, należy uważać, by nie wymienić je na gorsze.

Najpiękniejsze rysy jego charakteru zostały wykonane różgą.

JANUSZ ROŚ

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

**L. W. JAROSŁAW:** Wierzmy, że koledzy są zachwyceni pańskimi wierszami — my niestety zachwyty nie podzielimy. Oczywiście o drukowaniu nie ma mowy. Zarówno wiersz „Bieszczadzkie mgły”, jak i „Poezja” z poezją niewiele mają wspólnego. Te prymitywne w formie i bardzo naiwne utwory zasługują niestety na miano plodów kramarstwa.

**A. K. KROSNO:** Wiersze są objawem odczytania i kultury literackiej autorki, lecz chyba nie wyobraźni i oryginalnego talentu. Są zbyt „nijakie”, bezbarwne mimo swej poprawności. Sporo w nich banałów i prozaimów. Brak im kondensacji i obrazowości charakterystycznej dla współczesnej poezji. Ale może warto kontynuować próby.

**E. G.:** Odpowiadamy po prostu, zgodnie z życzeniem wyrażonym w Pana liście: nie warto się ludzi. Jak na klasę maturalną wiersze są zadziwiająco naiwne. Także z ortografią i gramatyką nie wszystko w porządku. Poza tym za dużo w tych wierszach huk, grzot, stuków i hałasów. Np. „A deszcz wciąż pada, wciąż jęczy, wciąż kwili / a s dała widzę: błysk, błysk — a po chwili / huknęło gromem, salwę powtórzyło / i znów szarością ziemię zasloniło”. W „Panu Tadeuszu” było trochę inaczej.

**J. ST. SKRYTY** — Bieszczady: Niestety nie skorzystamy z wiersza „Przestręga”. Zawiera wprawdzie słusne myśli, lecz zbyt oczywiste. Nie mówi nic nowego. Poza tym nie ma żadnych wartości artystycznych.

**RENA I.:** Opowiadanka bardzo sentymentalna i naiwna. Przypominają stylem i sposobem widzenia świata zeszytowane romanse przedwojenne. Brak im autentyzmu i wiedzy o życiu, zresztą w tym wieku o to niełatwo. Proza wymaga dużej dojrzałości życiowej i intelektualnej. Te próby traktujemy raczej jako młodzieńcze zabawy. Związczą opowiadanko, którego akcja toczy się w roku 1813 (?) na przedmieściach Paryża (?), a które mówi o zakochanym mordercy. Czy Pani naprawdę nie ma do powiedzenia o świecie bliższym Pani od siebie?

**W. Z. RZESZÓW:** Nie podoba nam się fragm. próby powieściowej pt. „W rodzinie”. Przede wszystkim budzi sprzeciw język tej prozy, „Perliste lzy, ciałe drgające w konwulsyjnych drgawkach, spazmatyczny szloch, słodko-miły odór” itd. — to zwroty wytarte, zdawkowe i banalne. Sytuacja zawarta w fragmencie również nie grzeszy odkrywczością. Pełna ocena jest jednak utrudniona, gdyż fragment jest zbyt mały.



**PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI:** Strumień. W-wa 1966 MON s. 207, cena zł 9.

Tom zawiera trzy opowiadania i powieść, powiązane ze sobą problematyką wojny. Autor rozpatruje ten problem od strony jego wpływu na psychikę człowieka. Ukazuje polski ruch oporu i polsko-radzieckie braterstwo broni.

**KONSTANTY WASZENKIN:** Żołnierska młodość. Przel. Byszard Wójcik. W-wa 1966 MON s. 296, cena zł 10.

Debiut prozatorski znanego radzieckiego poety. Dramatyczne losy wojenne młodych żołnierzy są tematem dwóch zamieszczonych tu utworów: „Żołnierskiej młodości”, „Awdiuszyna i Jegoryczewa”.

**JUAN RULFO: PEDRO PARAMO.** Przel. Kalina Wojciechowska. W-wa 1966 KIW s. 171, cena zł 8.

Rzeczywistość meksykańska ukazana tu jest od strony człowieka żyjącego na marginesie cywilizacji, Indianina meksykańskiego, nie objętego kulturą współczesną. Powieść uznana jest za dzieło klasyczne współczesnej literatury meksykańskiej.

**HENRYK BANASZKIEWICZ:** O zakażeniu kilowym. Podstawowe wiadomości. W-wa 1966 PZWL s. 67, cena zł 4.

Nowe popularne wydawnictwo medyczne, dające historię tej choroby, charakterystykę jej objawów oraz sposoby jej leczenia. Ilustracje.

**SŁAWOMIR KRYSKA:** Koło granic. W-wa 1966 PIW s. 135, cena zł 10.

Trzecia z kolei powieść młodego poety i prozaika. Tematem jej jest historia spotkania czterech kolegów szkolnych, którzy spotykają się w dziesięć lat po tragicznej śmierci jednego z ich nauczycieli.

**ALBERT CAMUS:** Dżuma. Przel. Joanna Guze. W-wa 1966 PIW s. 256, cena zł 10.

Siódme z kolei wydanie najlepszej powieści Camusa. Jest to powieść o grozie, klęsce i śmierci sianej przez epidemię, a zarazem hołd złożony zwykłym ludziom, którzy bez wielkich słów przeciwdziałają w miarę sił bezradnej sytuacji i absurdalności wydarzeń. Wielka parafraza czasów okupacji.

**ARTUR LUNDEKWIST:** Fryz życia. Poznań 1966. Wyd. Poznańskie s. 351, cena zł 30.

Wybór typowych dla prezentowanego szwedzkiego pisarza krótkich utworów prozajicznych: nowel, szkiców i satyr. Ciekawe literackie spojrzenia na rzeczywistość.

**EUGENIUSZ PAUKSZTA:** Po burzy jest pogoda. W-wa 1966 MON s. 468, cena zł 30.

Powieść poświęcona osadnictwu wojskowemu na Ziemiach Zachodnich. Z sympatią dla swych bohaterów autor ukazuje trudne początki organizacji wsi, połączone z walką z resztkami hitlerowców i rodzinnymi bandami.

**JERZY J. WIATR:** Militarizm a demokracja. Szkice o politycznej roli armii w powojennej Francji. W-wa 1966 MON s. 352, cena zł 23.

Ciekawie pokazane sprzeczności militarystyki w kraju o bogatej przeszłości republikańskiej. Obszerny rozdział poświęcony roli de Gaulle'a w tej kwestii.

Wę wspólnym szeregu. W-wa 1966 MON s. 320, cena zł 11.

Praca zbiorowa kilkunastu oficerów radzieckich. Poświęcona jest ona sprawie Układu Warszawskiego i ukazuje jego znaczenie dla zachowania pokoju i bezpieczeństwa w Europie.



DWUTYGODNIK  
POŚWIECONY  
OBYCZAJOM  
SARMATÓW



REDAGUJE  
E. GAJEWSKI  
RYSUJE  
J. SIENKIEWICZ

## ALBOŚMY TO CACY, CACY... DZIŚ POLECA: PODRÓŻE... KSZTAŁCĄ

Pozostały mi jeszcze 4 dni zasłużonego odpoczynku urlopowego. Zdałoby się odmienić trochę środowisko, ruszyć gdzieś w Polskę! Uwielbiam góry, ale Zakopane nie ma moją kieszeń. Uwzględniłem skromne możliwości finansowe, została tylko zagranica. Turystyka to piękny sport, a podróż kształca. Czek wracu do kraju jak absolutnie uniwerku. Inne horyzonty...

W autobusie, jak to zazwyczaj bywa na takich wycieczkach, towarzystwo różne, jednak o szerokiej zainteresowaniach, choć „ukierunkowanych”. Pewna miła drobniuszczanka uświadomiła nas w zakresie ekonomiki, jej prelekcja o działaniach prawa podaży i popytu u sąsiadów zza miedzy była żywa i ciekawa. Z niesłabnącą uwagą słuchaliśmy jej wykładu. Podróż przeleciała szybko. Po pewnych nieporozumieniach na granicy, wynikających z nieznajomości przepisów celnych, znaleźliśmy się na gościnnej ziemi przyjaciół.

W Smokowcu, nasza turystyczna brać była mocno zmęczona i nie wszyscy byli w stanie na wypad w wysokie Tatry. Okazało się, że wielu turystów ma lęk przestrzeni, co można było już zauważyć na granicy. U innych wystąpiły zawroty głowy, wiadomo góry. Miss naszej wycieczki, uroczą blond-wenus, wyraźnie obraziła się na kierownika grupy i stanowczo odmówiła szwendać się po górach:

— Nie będę kołował nóg na górskich wybojach. A nie daj Boże jeszcze szpilki włoskie połamię!

Niektórzy panowie mieli niezwykle pragnienie i nawet nie wiadomo kiedy znikli w miejscowej gospodzie, polecającej piźniera. Znowu najliciejsza jejmość przełożyła w walizki do siatki 20 paczek „carmenów”, siatkę przewiesiła przez rękę i powiedziała:

— Duma narodowa nie pozwala mi handlować, ale jeśli bracia Słowacy mają ochotę na „carmeny”, to dlaczego nie odstąpić przyjaciółom parę paczek.

Gdy wieczorem nasza ośliczna grupa taterników powróciła do hotelu, spotkaliśmy się z ogólnym zrozumieniem. Na drugi dzień, świdując miejscowe pla-

cówki handlu uspołecznionego przekonaliśmy się, że my „taternicy” mamy bardzo skąpe zapasy koron. Co robić? Kupiłem parę drobiazgów i piękne czarne bućki. Nie mogłem się nadziwić, że takie tanie i eleganckie.

Jak zaczęliśmy się zbliżać do granicy, w drodze powrotnej znów u niektórych zaczęły występować objawy lęku przestrzeni. Sam myślę sobie, może bućki włożył na nogi, po co człowiekowi mają czeptać. Z tą myślą wyjmuję buty z pudełka. Ale żal je wkładać na nogi. Sąsiad zwrócił się do mnie ze szczerym współczuciem:

— Ktoś szanownemu panu umarł? Takie tekturowe butki dla nieboszczyka to praktyczna rzecz. U nas nikt na to nie wpadnie.

Zeszytniałem — myślałem, że sam odstawię nieboszczyka. Opanowałem na siłę i bąkam:

— Proszili znajomi.

Ale tak mnie trzęsło, że przesiadłem się na inne wolne miejsce. Siedzę ponury i w duchu przeklinam niebezpieczne buty. A jak na złość znajomy pracownik resortu handlu przy Powiatowej Radzie Narodowej w Brzozowie zagaduje mnie co chwile:

— Pokażę panu, jaki piękny komplet ze sztucznego tworzywa kupiłem w Smokowcu. U nas nie do osiągnięcia. A jakie wykonanie! Patrzę i czuję, że mi lżej na sercu.

— Ile panu takich kupić w Rzeszowie?

— Takie! Znajomy aż mruga oczami z oburzenia. Przewracając na wszystkie strony talerzyk w ręcu mi go z obrażoną godnością. Oglądam talerzyk i oczom nie wierzę. „Made in Poland” — Stara Wieś!

— Tak! Wskazuję na napis i ze śmiechu aż się trzęsę. — Jeśli się nie mylę Stara Wieś to wasz powiat?!

Zalamany pracownik resortu handlu syknął tylko — a gady! i samikł, wlepiając smutny wzrok w przestrzeń.

I niech ktoś powie, że podróże nie kształca.